



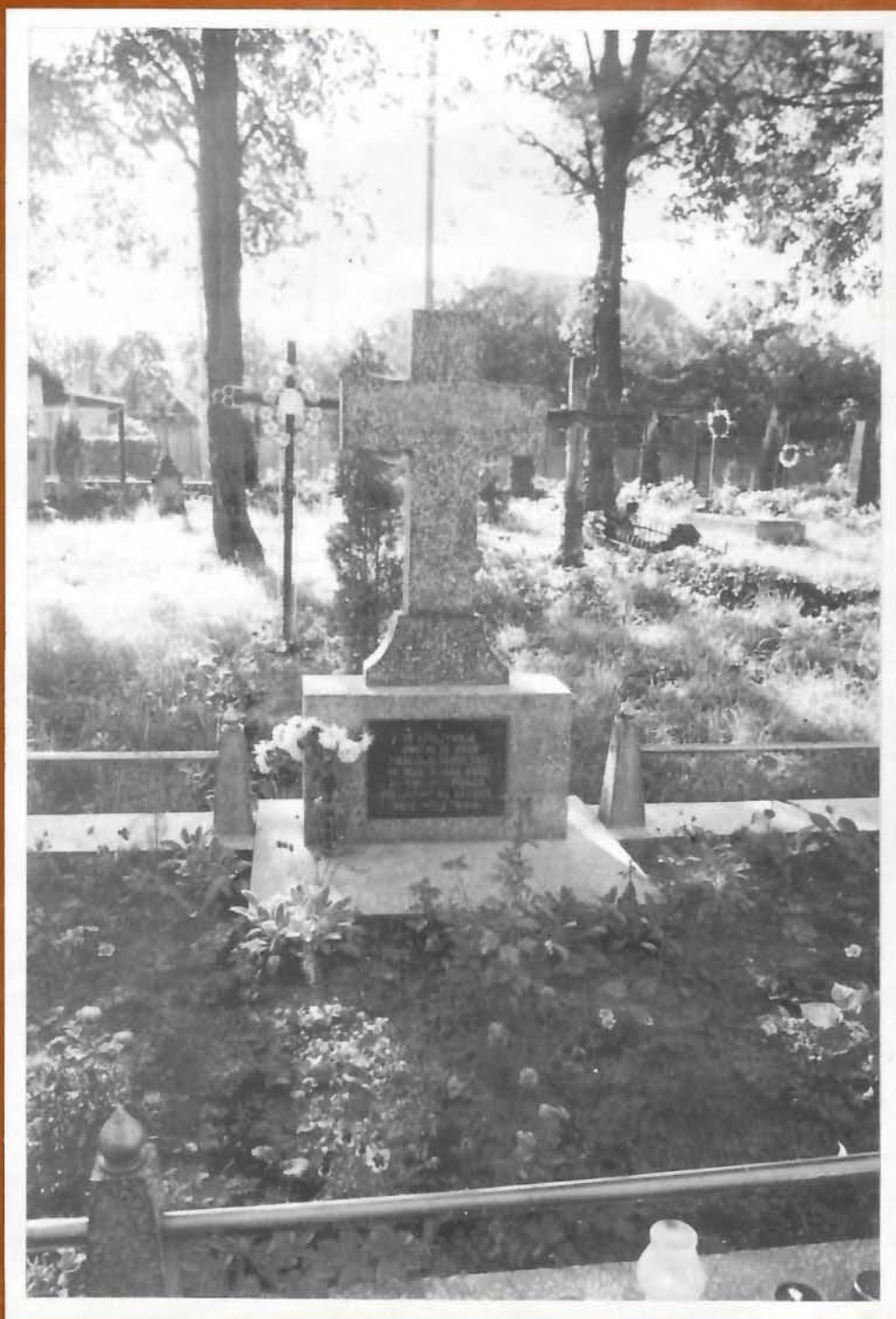
SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

WRZESIEŃ - PAŹDZIERNIK
1996

5 (34) 1996

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO—WSCHODNICH • WROCŁAW



Cmentarz w Kosowie. Krzyż na zbiorowej mogile 78 Polaków zamordowanych 29 marca 1944r. przez UPA.
fot. R. Mrozowski

Spis treści

Oświadczenie	1
Delegacja Federacji Organizacji Kresowych u Marszałka Sejmu	1
D. Nespiak – Polskie paździenikowe „rzeczywistości” na Ziemi Lwowskiej	1
J. Masior – Pamiętanie, ale jakie. Szolginia, pierścień i inni	5
A. Lenkiewicz – 17 września 1939 r. – sowiecka agresja i polska obrona	7
Z. Girulski – NKWD straciło ślad	8
M. Mazur – Orleńta, Samodzielny Oddział Młodszej Grupy Wiekowej Związku Strzeleckiego w Drohobyczu – Polminie	10
Lwowski dokument	12
Spotkanie ze Stanisławem Lemem	12
S. Rakowski – Szkoła spod znaku Hermesa w Czortkowie	14
A. Wartalski – Bolszowce	16
D. Śliwińska – Jeszcze echa wakacji	18
I. Werschler – Wystawa „Lwów i Kresy Północno-Wschodnie. Czasy i ludzie” w Poznaniu	19
T. Kukiz – Stulecie wielkiego epika	21
Prof. dr Jakub Parnas 16 I 1884 – 29 I 1949	21
T. Cedro – Glosa do prasy okupacyjnej	22
Jeszcze o „Istrebitylnych batalionach”	23
Z. Umański – Wczoraj, dziś, jutro. Notatnik kresowy	24
D. Tabińska-Juhasz – U Polaków w Kijowie	26
Wśród książek	28
Listy do redakcji	29
Apele	30
Poszukiwania	31
Informacja finansowa	31
Errata	31
Uwaga Czytelnicy	31
Z żalobnej karty	32

Redaguje zespół w składzie:

Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMINSKI,
Jerzy KOPACZ, Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI,
Jerzy PETRYŃSKI, Danuta ŚLIWIŃSKA, Danuta TABIŃ-
SKA-JUHASZ, Zbigniew UMAŃSKI

Redakcja:

Danuta NESPIAK – redaktor naczelny, Jerzy PETRYŃSKI

Redakcja techniczna:

Franciszek Borkowski

Adres redakcji:

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów
Północno-Wschodnich, 50-079 Wrocław, ul. Rуска 32/33
I p., skr. poczt. 1042 Wrocław 3, tel. 44-88-93

Wydawca:

Fundacja Kresowa „SEMPER FIDELIS”: Jan AKIELASZEK,
Wiesława JELEŃSKA-HOMBEK, Andrzej KAMINSKI,
Danuta NESPIAK, Zdzisław OJRZYŃSKI, Karol STANIUK,
Jan ZIEMBICKI

Konto Fundacji „Semper Fidelis”:

PKO IV O/Wrocław Nr 93549-10012-123-3

Prezes Fundacji:

Danuta TABIŃSKA-JUHASZ

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Autorów piszących na komputerze prosimy o nadsyłanie dyskietek.
W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno-językowych.

Oświadczenie

Zarząd Główny Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z siedzibą we Wrocławiu oświadcza niniejszym, iż zgodnie z § 29 Statutu jest jedynym reprezentantem Towarzystwa jako całości i wyłącznie uprawnionym do działalności na zewnątrz w jego imieniu.

Jednocześnie przypominamy, że nie jesteśmy organizacją polityczną i statut nasz nie przewiduje tego rodzaju działalności. Zwracamy również uwagę, że niektóre organizacje i osoby podejmujące próby występowania w imieniu środowiska lwowskiego działają niezgodnie z naszym statutem i nie mają upoważnienia do tej działalności.

Prezydium Zarządu Głównego
TMLiKPW Wrocław

Delegacja Federacji Organizacji Kresowych u Marszałka Sejmu

18 września br. delegacja Rady Naczelnej Federacji Organizacji Kresowych, z jej przewodniczącym Stanisławem Mitraszewskim, złożyła wizytę Marszałkowi Sejmu Józefowi Zychowi.

Prof. dr hab. Piotr Lossowski przedstawił Marszałkowi trudną sytuację polskiej mniejszości na Litwie w związku z wprowadzeniem 5-procentowego progu wyborczego i nowym podziałem okręgów wyborczych. O sytuacji Polaków na Ukrainie, trudnościach z zabezpieczeniem tam polskiego dziedzictwa kulturalnego, o problemach związanych z kolejnymi etapami odbudowy Cmentarza Orląt we Lwowie oraz upamiętnieniem miejsc polskich pochówków wojennych na Wołyniu, Ziemi Lwowskiej i Podolu – mówił prof. dr hab. Ryszard Brykowski.

Przewodniczący Rady Naczelnej FOK Stanisław Mitraszewski podziękował Marszałkowi Sejmu za pomoc na rzecz odbu-

dowy Cmentarza Orląt Lwowskich – ubolewał, że pieniądze przekazane na ten cel, m.in. przez Marszałka Zycha, nie mogą być na razie wykorzystane z powodu wstrzymania prac przez władze miejskie Lwowa na tym cmentarzu.

Marszałek Zych przyjął przedstawione mu kwestie ze zrozumieniem. Poinformował delegację FOK o swoich działaniach na rzecz obrony praw Polaków na Wschodzie, zapewniając kontynuowanie współpracy z ruchem kresowym. Obiecał wsparcie i pomoc dla działań podjętych przez Federację Organizacji Kresowych, Społeczny Komitet Odbudowy Cmentarza Orląt oraz Radę Ochrony Pamięci Walki i Męczeństwa.

W dowód uznania zasług Marszałka Józefa Zycha dla spraw kresowych prezes Zarządu Głównego TMLiKPW dr Andrzej Kamiński wręczył Marszałkowi Sejmu Honorową Złotą Odznakę Towarzystwa.

Danuta Nespiak Polskie październikowe „rzeczywistości” na Ziemi Lwowskiej

Obdarowała nas złota jesień ciepłem i feerią barw w krótki, październikowy, ale gęsty od wydarzeń czas prezentowania w Lwowie polskiej kultury, w takim przekroju i wymiarze, na jakie pozwalają aktualne realia polityczne i ekonomiczne. Tak się złożyło, że wydarzenia te biegły zwartym nurtem, a nawet w przypadku Mostów Wielkich (odsłonięto i poświęcono tam pewien pomnik) nałożyły się na siebie i utworzyły trzy polskie „rzeczywistości”. Od 5 X do 10 X br. trwał I Festiwal Kultury Polskiej na Ukrainie – de facto we Lwowie, a którego oficjalne zakończenie zaplanowano na dzień 22 XI br. koncertem chóru i orkiestry Filharmonii Krakowskiej pod batutą K. Pendereckiego.

Organizatorami Festiwalu byli: Federacja Organizacji Polskich na Ukrainie, Towarzystwo Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej i Związek Polaków na Ukrainie. Patronat objęli ministrowie Kultury i Sztuki Polski i Ukrainy.

Festiwal miał na celu promocję kultury polskiej, a przede wszystkim prezentację działalności artystycznej Polaków mieszkających na Ukrainie.

Oczywiście, że w ciągu 6 dni nie można było, mimo pracy organizatorów i koordynatorów Festiwalu (ze strony polskiej koordynatorem był p. M. Olbromski, dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Przemyśle) przedstawić jakiegokolwiek szerszego obrazu polskiej kultury po obu stronach granicy. Z Polski „rodem” był znakomity spektakl „Pana Tadeusza” w teatrze skarbkowskim w adaptacji i reżyserii Jana Englerta, koncert wybitnego szopenisty Janusza Olejniczaka, ekspozycje malarskie plastyków przemyskich i uczestników III Warsztatów Artystycznych dla Polaków z Ukrainy, koncert krakowskiej grupy „Pod budą”, wieczór autorski J. Janickiego i występ rzeszowskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Resovia Saltans”.

Koncert inauguracyjny festiwalu odbył się 5 X br. w Teatrze Wielkim we Lwowie. Słowo wstępne wygłosili – Prezes Federacji Pol. Organizacji na Ukrainie p. E. Chmielowa oraz sekretarz generalny Tow. Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej p. B. Sudomlak. Oklaskiwaliśmy chyba najgoręcej zespół śpiewaczy Polek „Białe Gołębie” ze wsi Susły na Żytomierszczy-

źnie i „Poleskich Sokolów” z Żytomierza kierowany przez p. Pawła Antoniewskiego – Polaka-Kazachstańczyka, który powrócił po latach na Ojcowiznę. Właśnie te dwa polskie zespoły mimo występów wielu innych, młodszych, kolorowych, roztańczonych, rozśpiewanych – otrzymały największy aplauz publiczności, lwowskich Polaków i tych, którzy przyjechali z Polski. Może był to nie wypowiedziany słowami tylko oklaskami hold złożony tym Polakom, niemłodemu przecież, którzy tam na dalekich byłych Kresach I Rzeczypospolitej przetrwali, nie wyparli się swych korzeni mimo dramatycznych losów, o których „współcześni Europejczycy” polskiego chowu z PRL nie mają pojęcia. To Polacy stamtąd świadczyli, że jądrem kultury narodowej jest ta prosta, w najlepszym tego słowa znaczeniu, twarda i chropowata kultura ludowa zachowana nawet tam, tak daleko od Polski.

Po tym galowym koncercie polskich zespołów, który prowadzili aktorka teatru polskiego we Lwowie p. Jolanta Martynowicz i aktor scen warszawskich p. Krzysztof Kolberger, można było wybierać wiele imprez w tym „gęstym” okresie sześciu dni października. Już w niedzielę 6 X br. po uroczystej Mszy św. w katedrze lwowskiej, w dawnym palacu Sapiehów przy ul. Kopernika wczesnym popołudniem odbyło się rozdanie nagród laureatom IV Konkursu Literackiego dla Polaków z Ukrainy, połączony z prezentacją utworów poetyckich. Całość prowadziła p. Teresa Dutkiewicz. Wieczorem w Filharmonii Lwowskiej (dawne konserwatorium przy ul. Choraszczyzny) można było posłuchać koncertu szopenowskiego w wykonaniu wspomnianego już polskiego pianisty Janusza Olejniczaka z udziałem orkiestry Lwowskiej Filharmonii. W następnych dniach mieliśmy do wyboru wieczory literackie, wspomniany już spektakl „Pana Tadeusza” i wystawy malarskie w Galerii Lwowskiej, gdzie pomieszczona została też artystyczna ekspozycja fotogramów p. Jerzego Borysowskiego ze Lwowa, w której zwracał uwagę znakomity cykl portretowy pt. „Ci, którzy przetrwali”. Oczywiście były to portrety Polaków. 8 X br. miał miejsce występ polskiego teatru we Lwowie z fredrowską „Zemstą”. Odbył się w gmachu przedwojennego teatru żydowskiego, w którym podczas okupacji „drugich Sowietów” działał teatr polski. Przed opuszczeniem Lwowa B. Dąbrowski wystawił słynny spektakl „Wesela” Wyspiańskiego. Teatrem tym kieruje oddany mu duszą i ciałem miłośnik polskiej kultury Walery Bortiakow urodzony w... Krasnojarsku. Akcentem kończącym tę 6-dniową „rzeczywistość” polską Festiwalu była uroczystość poświęcenia nowej tablicy na pomniku Bartosza Głowackiego w dn. 10 X br. Króluje ten pomnik na wzgórzu w parku Łyczakowskim obok kościoła Matki Bożej Ostrobramskiej (dziś mieści się tam cerkiew unicka ale nie przyozdobiona kopułą jak to uczyniono w innych przejętych przez unitów kościołach rzymskokatolickich). Aby nowa tablica mogła zaistnieć na tym przedwojennym polskim pomniku, tak zrosniętym z łyżakowskim pejzażem, musiała być dwujęzyczna. Trudno. Ważne, że pomnik stoi i świadczy.

Festiwal w swojej warstwie ideowo-programowej był oficjalnym, rutynowym festiwalem, jakie organizowane są zgodnie z tzw. „racją stanu” przez państwa, których rządy realizują polityczny program dobrosąsiedzkich stosunków. A to, że ta festiwalowa „rzeczywistość” posłużyła podtrzymywaniu i kultywowaniu kultury polskiej wśród mniejszości polskiej za

wschodnią granicą – jest korzystne i obliuguje do myślenia już o następnym.

Nazajutrz tj. 11 X br. rozpoczęła się druga „rzeczywistość” polska – obchody jubileuszu 180-lecia szkoły im. Św. Marii Magdaleny we Lwowie – obecnie polskiej szkoły średniej Nr 10. Trwały do niedzieli 13 X br. Tu sytuacja była bardziej skomplikowana poprzez konieczne odwołanie się do historii, które niby było a właściwie nie było ze względów oczywistych. Polega ono na unikaniu nazywania faktów z międzywojennego dwudziestolecia II RP na Kresach Południowo-Wschodnich zgodnie z prawdą. Jubileusz, na który przybyli z Polski i innych krajów lwowiacy, uczniowie i absolwenci tej szkoły, rozpoczęła Msza św. w katedrze lwowskiej. Błysnął wtedy homilią kapelan TML i KPW ks. Janusz Popławski sterując ją ku prawdzie. Zrobił to z klasą, bo przecież „Lwów jest jedyny na świecie”. A wieczorem w gmachu dawnego kina „Świt” przy ul. Gródeckiej rozpoczęła się oficjalna inauguracja obchodów Jubileuszu, które prowadziła dyrektor szkoły p. Marta Markunina. Powitała rozmaitych „ważnych gości” z Polski i Ukrainy, również przedstawicieli Zarządu Głównego TMLiKPW, ale tylko po nazwisku bez wymieniać „firmy”, bo „rzeczywistość” była tu bardziej skomplikowana niż na Festiwalu. Przedstawiła pełny skład zespołu pedagogicznego szkoły, wśród którego wielu nauczycieli przyczyniło się wydatnie do utrzymania polskiego charakteru tej placówki (np. p. Maria Iwanowa, p. Kornelia Bujnowska). Długo odczytywała gratulacyjne adresy dla szkoły, które nadeszły na jej ręce, również z wielu instytucji kulturalnych i samorządowych z Polski. Odczytała również fragmenty listu prezesa Federacji Organizacji Kresowych w Polsce St. Mitraszewskiego. Ale nie wchodząc w szczegóły – nie zaistniała sytuacja, by adres gratulacyjny od p. senator Alicji Grześkowiak został również z tej okazji odczytany. Niezręcznie wypadła również dekoracja złotymi odznakami TMLiKPW – jej i dwóch nauczycielek. Bo przecież Towarzystwo nie jest we Lwowie przez władz lokalne mile widziane, a szkoła im podlega. Niedomówienia znalazły miejsce w krótkim zarysie historii szkoły, która przeżyła największy rozkwit w latach trzydziestych w II Rzeczypospolitej. Zatem ktoś obcy z zewnątrz, ktoś nie obeznany z trudną historią stosunków polsko-ukraińskich mógł się nie zorientować, czy w ogóle owe złote lata szkoły Marii Magdaleny – lata trzydzieste były latami placówki oświatowej w państwie polskim. Na pewno te momenty przed programem artystycznym nie były łatwe dla p. dyrektor Markuniny. To należy zrozumieć.

Wdzięczne były później w wykonaniu uczniów szkoły występy artystyczne i gorąco je oklaskiwaliśmy, zwłaszcza gdy występowali ci najlepsi.

Bardziej satysfakcjonujące – bez tego przymusu „poprawności politycznej” było spotkanie towarzyskie zaproszonych przez p. dyrektor gości na lampkę wina wraz z poczęstunkiem, które odbyło się w przystrojonej sali gimnastycznej szkoły. Tu wreszcie jako przedstawiciel ZG TMLiKPW zabrał głos prof. dr hab. Wł. Stażka. Mówił bardzo krótko, ale „trafiał” w dziesiątkę i dostał duże brawa. Gratulacje Panie profesorze, że Pan tę „rzeczywistość” jubileuszową osadził bliżej prawdy. Rozmowy kularowe (gości było huk, m.in. prezes Kola Lwowian z Londynu p. inż. Mieczysław Hampel) były

żywe, przyjemne, na luzie, gdzieś w kąt uciekła sztywna oficjalność, wymagana i narzucana przy tego typu obchodach rocznic. Być może, że tak swobodnie było i podczas spotkań poszczególnych roczników szkoły, które miały miejsce 12 i 13 X br. Nie uczestniczyłam w nich, bo w sobotę rano 12 X br. jechaliśmy do Mostów Wielkich, miasteczka należącego za II RP do pow. Żółkiew, a obecnie do rejonu Sokal. Tam z dala od oficjalnych imprez we Lwowie odbyła się wielka i bardzo ważna uroczystość na starym skromnym cmentarzu, gdzie chowano do 1939 r. po lewej stronie Polaków, po prawej Ukraińców. Tu miała miejsce trzecia polska „rzeczywistość”, która wiązała się z tragiczną prawdą o losach Polaków w tej parafii w latach 1943-44 r.

Prawda ta również nie została w pełni udokumentowana ani w wygłaszanych słowie, ani w inskrypcjach na cmentarnych tablicach. Jest to na razie niemożliwe, a z dokonanych w tym względzie realizacji – tj. stawiania pomników pomordowanym Polakom, nie należy w żadnym wypadku rezygnować, bo zginie wszelki ślad i znak po polskich męczennikach na Kresach Płd-Wschodnich. W książce „Droga krzyżowa archidiecezji lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945”, wyd. Wrocław 1983, ks. bp W. Urban napisał: W dekanacie Żółkiew terror ukraiński szalał przeogromnie i dawał się polskiej ludności ciężko we znaki.” (s. 149). Na terenie parafii rzymskokatolickiej Mosty Wielkie zostało zamordowanych przez UPA 150 Polaków, m.in. 10 osób z rodziny Filipowskich. Kiedy 2 lata temu mgr inż. Czesław Filipowski (miał 11 lat, jak zamordowano mu matkę) rozpoczął pierwsze starania, by właśnie w Mostach Wielkich postawić Matce i pozostałym ofiarom nieludzkiej nienawiści pomnik-symbol, sprawa wydawała się z góry przegrana ze względów politycznych. Zdawało się, że przed samotnym pomysłodawcą stanęła betonowa zaporą. Mimo tego działania podjął. Wyszukiwał uparcie ścieżki, odkrywał ostrożnie i dyskretnie ludzką życzliwość w Mostach i okolicznych wsiach i tłumaczył cierpliwie o swoim moralnym obowiązku wobec pamięci Matki. Szukał sprzymierzeńców. We Lwowie prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi Eugeniusz Cydzik pomagał mu w zdobyciu materiału budowlanego, z pomocą finansową przyszła Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa i jej Sekretarz Generalny Andrzej Przewoźnik w Warszawie, w zdobyciu finansów na pokrycie kosztów budowy pomnika pomógł też mgr Julian Gazdecki, mieszkaniec stolicy, ale urodzony w Piaskach w parafii Mosty. Jakoś ruszyło, ale był taki moment, że Filipowski zmuszony był zwrócić się do konsula generalnego RP we Lwowie Tomasza Leoniuka. Chodziło o obecność konsula na spotkaniu z ukraińską społecznością w Mostach Wielkich poświęconą sprawie budowy pomnika. Dało to pozytywne rezultaty, bo zmniejszyła się liczba niechętnych. W chwili decydującej większość deputowanych w Radzie Miejskiej Mostów Wielkich odniosła się życzliwie do jego prośby o postawienie pomnika. Zezwolenie wydano. Stanął więc okazały pomnik (dl. 7m 60 cm), którego głównym elementem ideowym jest przelamany krzyż o wys. ponad 5 m. Pomnik ten jest wspólnym projektem mgr. inż. arch. Marka Rogalskiego i mgr. inż. Czesława Filipowskiego. Na metalowych tablicach inskrypcyjnych w języku polskim figurują nazwiska pomordowanych. Są całe rodziny. Wśród ofiar jest kilku Ukra-

inów. Mogli uniknąć śmierci, ale poszli za głosem sumienia. Nie zgodzili się, gdy banderowcy kazali im zabijać własnoręcznie współmałżonków – mężów i żony. Zamordowano ich wtedy również. To oni, wybierający świadomie śmierć a nie zbrodnię, powinni stać się kamieniem węgielnym pojednania polsko-ukraińskiego.

W odróżnieniu od listy nazwisk, która jest tylko po polsku, napis informujący, że są to Polacy, którzy zginęli w czasie II wojny światowej, jest dwujęzyczny. Władze lokalne w Mostach Wielkich nie wyraziły zgody na sformułowanie, że Polacy zostali zamordowani (nie wspominając już o tym, kto dokonał zbrodni). Jest to bowiem pewna reguła przy rozmowach ze stroną ukraińską, jeżeli chodzi o ocenę roli UPA w eksterminacji ludności polskiej na Wołyniu i Kresach Płd-Wsch. Niestety, ich zbiorowa świadomość przechowuje nadal jakąś akceptację tych zbrodni jako metody walki o niepodległość Ukrainy. Czy uważają, nadal że innej alternatywy niż zbrodnia działalność UPA i jej ideologia, w którą uwierzyły rzesze prostego ukraińskiego chłopstwa – nie było? Efektem rozmów jest zatem uzyskanie zezwolenia, by pisać na nielicznych mogiłach, że Polacy, czy nawet osoby! zginęły. O osobach, a nie Polakach, informują tablice na mogiłach w Worochcie i Kosowie! Stawia się mur, na razie nie do sforsowania, nie można napisać, kto to zrobił i że była to zbrodnia.

Czy trzeba przypominać, że określenie „zginęli” jest nie tyle niedomówieniem, ale zafalszowaniem. Zginąć można tragicznie np. w czasie bombardowań, które przecież miały miejsce w czasie wojny.

We Mszy św., która się przy pomniku odbyła, wzięli udział: konsul generalny p. Tomasz Leoniuk z Lwowa, księża rzymskokatolicki, ks. M. Legowicz z Mościsk, ks. J. Szczepanik z Janowa, ks. D. Warchol z Jaworowa, ks. B. Pawelko z Żółkwi, ks. M. Fromelec z Mostów Wielkich, dwaj duchowni grekokatolicy – o. bazylianin i pop z tutejszej cerkwi. Liturgię odprawił ks. kanonik Wł. Szeremet z Polski, ale pochodzący z parafii Mosty Wielkie wieś Stanisławówka. Uroczystość ta zgromadziła kilkadziesiąt osób. Byli Ukraińcy z Mostów i sąsiednich wsi.

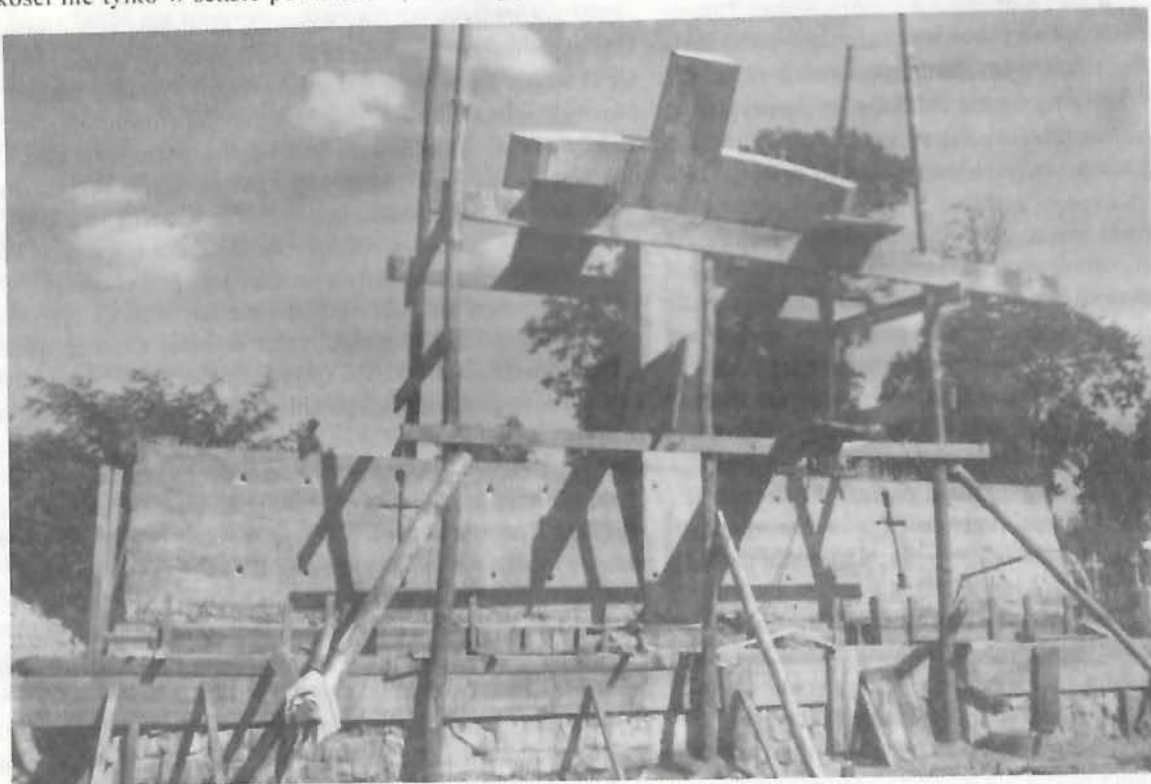
Pomnik ten dosłownie w pocie czoła murowali własnoręcznie inż. Cz. Filipowski i dwa jego przyjaciele architektki: Marek Rogalski i Zdzisław Pelc – wszyscy mieszkają we Wrocławiu. Pomagali również Ukraińcy, trochę z Mostów i okolicznych wsi, a szczególnie p. Halina Rogowska, która gotowała i karmiła trójkę Polaków wraz z pomocnikami przez 2 miesiące. Ale byli i inni. Najbardziej wrogo nastawieni okazali się przesiedleńcy z akcji Wisła (są w ukraińskim „Ruchu”). Jeździli specjalnie do Sokala, by przez interwencję władz rejonowych zaszkodzić skutecznie całej sprawie. Nie udało się.

Reasumując – stała się jednak rzecz nieprawdopodobna. Jeden człowiek, skromny inżynier z Wrocławia, bez nagłaśniania sprawy, bez wizyt w gabinetach wysokich urzędników i dyplomatów obu stron, wspierany przez tych, których już wymieniał wyżej, załatwił to, co się jeszcze nikomu w tej sferze działań nie udało.

W tym kontekście nasuwa się smutna refleksja; wiele było rozmów na najwyższym szczeblu, tylu prominentów z Polski po obejrzeniu Cmentarza Orląt obiecywało pomoc. Mają przecież władzę, środki przekazu, jest podstawa prawna (rozsze-

rzona konwencja genewska) a sprawa odbudowy Cmentarza Orląt stanowi przykład kompletnej indolencji władz polskich. Jeżeli nakłada się jeszcze na to wroga postawa ukraińskich urzędników we Lwowie, to mamy sytuację przekreślającą na razie jakąkolwiek nadzieję. Oczywiście są to zupełnie inne jakości nie tylko w sensie podmiotów (abstrahując od skali i

rangi obiektów) – mogiła pomordowanych Polaków w Mostach Wielkich i Cmentarz Orląt – ale zestawione razem mogą prowadzić do pewnej konkluzji. Gdyby w polskim rządzie znalazł się batalion Filipowskich, to szlaban z napisem „stop” uniósłby się w górę.



Pomnik rośnie. Stan realizacji w sierpniu 1996. Fot. M. Rogalski



Mosty Wielkie 12 X 1996. Msza św. przy pomniku pomordowanych Polaków. Fot. M. Rogalski

Jerzy Masior

Pamiętanie, ale jakie

Szolginia, pierścień i inni

Obiecałem Czytelnikom SF, że będę kontynuował opowiadanie o moich pierwszych wrocławskich latach, niechaj mi jednak darują, ale ustawiają się w kolejce dawniejsze, serdeczniejsze tematy. Wrocław na moje pisanie poczeka, bo i bez niego o Lwowie pamięta. Czytam właśnie, jak mu weszły w kulturowy krwiobieg doroczne, czerwcowe „Dni Lwowa”. Niech tylko organizatorzy pamiętają, że na ich początku był śpiewający Zespół ze szkoły im. Orłąt Lwowskich z Nowego Sącza, że była „Preclarka z Pohulanki” i Ania Patykówna w duecie z Wojciechem Dzieduszyckim i był przebój specjalnie na Dni napisany w Sączu: „Kiedy do Lwowa” w miłym, dziecięcym wykonaniu Dorotki Baczyńskiej. Tak było i dziś. Lwowski Nowy Sącz gratuluje tegorocznym wykonawcom i organizatorom serdecznie. Że było wspaniale wiemy z ... „Gazety Lwowskiej”

Darujcie Mili ten wstęp, ale mnie i „Dni Wrocławia” i „Festiwal Dziecięcej Piosenki Lwowskiej” w Lesznie leży bardzo na sercu, bo przecież tam rozśpiewuje się na lwowską nutę nasza młodzież, nasze dzieci uczymy Miasta Pod Kopcem. A teraz będzie już o Witoldzie. Spoglądam na Jego odejście z niewielkiej jeszcze perspektywy czasowej. Mogę więc podsumowywać, zaokrąślać, zamykać. Mogę, choć jeszcze słowem tak trudno jest przystawać do Autora spod 137 na Łyczakowskiej. Witold Szolginia ze swoją uporządkowaną, systematyczną i konsekwentną twórczością literacką tylko pozornie jest łatwy do określenia, jako człowiek pióra nasyczonego Lwowem i architekturą. Ta ostatnia jest dla mnie nietykalna, zajmę się więc tym, co napisał dla Miasta i o Mieście, pieczęcią znakomitą, którą odcisnął na stronicach swoich książek, by trwała. Jestem przekonany, że przetrwa i to nie tylko wśród lwowian, ale i w publicznym, szerszym obiegu. Umiejętność ukazywania naszego Miasta, czyli obrazowania posiadał jak nikt ze współczesnie o Lwowie piszących. Zdaję sobie sprawę, że po Jego śmierci wiele o Nim już napisano i powiedziano. Trzeba jednak pamiętać, że każda śmierć stwarza okoliczności sięgania tak po banal jak i stawianie na piedestale tego, czegośmy za życia nie dostrzegali, bądź niedostatecznie oceniali. Pozostaje po nas niekiedy coś, co warto jest powtarzania – jak pacierz. Witold pozostawił nam lwowską modlitwę. Czesław Miłosz powracając na swoich stronicach do swoich lat najdawniejszych odkrywa „miejsca sakralne”. To piękne i najgłębsze spostrzeżenie. Warto jednak poszerzenia są słowa i obrazy uświęcające się w miarę upływu czasu. Łyczakowska 137, dom pod żelaznym lwem, to sakralne miejsce Witoldowe. Opisanie w nim swojego młodego życia – życia w jedno-piętrowce z oficyną, to tak jak ofiarowanie nam wszystkim, którzyśmy stamtąd – jakowegoś sacrum. A ono takie, że i my podnosimy go i trwamy z nim jak ze swoją świętością. Ze stronic przez tyle lat zapisywanych Jego ręką splota się do dziś łyczakowski pacierz, nasz, żarliwy i potrzebny. Zwłaszcza, gdy upływ lat i pamięci zatracza w nas to, co własne, co bardzo już mgliste, ulatujące w przestrzeń snów i nierzeczywistości. Szol-

ginia posiadał dar przydany tylko sercom bardzo miłującym i uczciwym: spod Jego pióra spływały opisy Miasta niezwykle zapamiętanego i ciepłego. Emanuje z zapisanych stron klimat i to on jakby chciał zdominować pisanie Autora. Klimat i jeszcze raz klimat. Stronice przewiane lwowskim powietrzem, pomalowane błękitem wakacyjnego lata w Winnikach, szumiące sosnami Łyczakowskiego Parku i rozbielone łyczakowskim śniegiem. Sięgnij Czytelniku po opisanie Wilii w rodzinnym domu, wypraw z Matką do pobliskiego parku i tych historii uczniowskich z VI Budy... Proza to i zaledwie z jednego tylko tomu „Dom pod żelaznym lwem”. Moim zdaniem to tom najlepszy. Były potem książki „Tamtego Lwowa”, była „Szkatułka” i inne wiersze. Wiersze niepowtarzalne. Nikt poza Szolginią nie nagromadził tyle opisania Lwowa w jego serdecznej mowie – balaku. I na dodatek wszystko to zilustrowane własnoręcznymi rysunkami – nieomal dokumentacyjnymi. Choć niekiedy ponosiła Go w tym rysowaniu fantazja. Bo przecież autorem był i architekt i Lwowiak. Opisywać Lwów i rysować tak ciepło mógł tylko ktoś, kto miasto znał najdokładniej, utrwalił Je pod powiekami, nie musiał nawet doń powracać, by być ustawicznie blisko, by być tam...

Wydaje się, że odejście Witolda Szolgini jeszcze nie w pełni zaistniało w naszej świadomości. Zwłaszcza w lwowskim środowisku. Zawsze przecież jest tak, że gdy czegoś nie chcemy, to przedziemy wokół siebie niewiedzy obronnej. Będą ukazywać się Jego książki; sięgniemy po już napisane przed wyjazdami w tamtą stronę, a także do poduszki, zwyczajnie, ku pocieszeniu naszych tlejących jeszcze serc. Sięgnijmy po te stronicie nie dla ich literackich, wysublimowanych wartości, lecz dla niezwyklej łatwości odczytywania Jego uczuć, z którymi utożsamiamy się do końca. Przecież te stronicie to całe bogactwo życia Jego i naszego. Poutykał wartościami słowa, więc nie stały się dla nas ulotne: one są, trwają, za nimi stromizny i wysokości lwowskiego pamiętania. Są dwa miasta. To dzisiejsze, z ogromną szarością i bylejąkością obliczoną jakby tylko na przetrwanie (wróciłem ze Lwowa 2 października – widziałem) i jest Miasto, którego od przeszło 50 lat już nie ma. To, które trwa na stronicach Szolgini i w naszych sercach. O tym właśnie mieście On pisał. I nikt Go w tym wysmakowanym, choć bardzo czytelnym rodzaju pisarstwa dotychczas nie doścignął. Dobrze jest zdawać sobie z tego sprawę, a wtedy odejście Autora stanie się dla wielu tym, czym być powinno: stratą niepowetowaną, a Jego dzieło podpowiedzianą możliwością trwania, możliwością przywoływania uczuć i obrazów pożądanych. Zazwyczaj rodzą się spontanicznie, ale przy takim Przewodniku nabierają barwy i blasku. Są nieomal dotykalne.

Rozpamiętując lwowskie trwania i odejścia nachodzi mnie niejednokrotnie potrzeba określenia, czym jest dla nas to Miasto opuszczone – teraz, po latach, które przecież są większością naszego życia, które nas tak czy owak kształtowały, a więc modelowały także mechanizmy naszej pamięci. Stawiałem już onegdaj Czytelnikom SF pytanie: wróciłibyście tam, czy nie? Oczywiście, gdyby niebiosa i historia obdarzyły nas taką łaską. Nie chcę popadać w jałowość powtórek, więc ponownie nie pytam. Jesteśmy wszyscy wraz z całą Europą w takim miejscu dziejów, że podobne rozważania nasączone są abstrakcją. I wszelkiego rodzaju pokrzykiwania, nawet w Czę-

stochowie, że jutro spotkamy się we Lwowie – to mrzonki. Autorom takiego myślenia należy się dwójka z logiki. A może to za trudny dla nich przedmiot, więc tylko z oceny zaistniałych i funkcjonujących faktów. Co nie znaczy, że powracać może i powinno pytanie: czym jest dla nas Lwów dzisiejszy, opuszczony (to widać), z rozsypującą się starówką, jakoś zapyziały, rzec by się chciało z lękiem – obcy. Materia i ludzie kreują taką rzeczywistość: osiedlowe blokowiska betonowym pierścieniem odgradzają centrum od zieleni brzuchowickiej, Lesienic, Kajzerwaldu i pasma Czarłowskiej Skały. A zieleni śródmiejska też jakaś poszarzała, bo przecież od lat brak wody komunalnej w rozumieniu europejskich standardów. Lwów bez wody, to przecież trudno wyobrażalne. Co się stało z Dobrostanami, ze Szkłem? I bruny na Pohulance też nie szumią tak, jak je Witold opisywał. Szare są ulice i szarzy ludzie, których zbyt tam wielu jak na wytrzymałość miejskiej substancji. Zatłoczona więc komunikacja, technicznie zacofana, mało atrakcyjne, przeważnie pustawe i nieczyste witryny sklepów i tyle, tyle innych rzeczy i spraw, które ciągną stolicę (jakby nie było) Galicji, miasto Targów Wschodnich, wspinających, niegdysiejszych uczelni, tak bardzo europejskich z ducha – na Wschód. Jakby tam nadszedł i trwał stan ustawicznej niemożności. Jakby młoda, ukraińska władza nie umiała sobie poradzić z elementarnymi prawami funkcjonowania miasta. Bywam we Lwowie od lat na tyle często, że dostrzegam i wiem.

Czym więc jest dla nas to miasto dzisiejsze. Jakim punktem odniesienia? Przecież większość z nas żyjących oddychało tamtym powietrzem przez lat kilka, kilkanaście, a niektórzy i więcej. Jaką więc ma być odpowiedź i czy warto pytać i odpowiadać? Nie jest prawem ani przywilejem autora odpowiadać za wszystkich, nie wolno mi tego czynić. Nie posiadam takiego bryku i broń mnie Boże od zawłaszczania pamięci i uczuć. A uczucia lwowian wygnanych, to sacrum, to łaka wielobarwna spontaniczności, pragnień i nadziei. Porównuję to co jeszcze we mnie tkwi lwowską zadną i zapachem do pierścienia z drogocennym kamieniem, który uniosłem stamtąd na całe życie. Pierścień ten wrósł latami w palec serdeczny. Palec i dłoń wiekiem zdeformowane i zdjąć pierścienia nie sposób. Jest ze mną – zawsze i wszędzie. Przywykłem do niego tak jak do życia. Takie jest to moje porównanie. I ja, i Wy nauczyliśmy się żyć z Miastem bez Niego. To nasza niewybrana dola. Przywykliśmy do niej – tak żyjemy od lat dniami naszymi powszednimi. Pierścień niezbywalny – już nie wadzi i nie uwiera, Wrósł w nas, w nasze tkanki. Pozwala żyć życiem takim, jakie ono jest od dni ekspatriacji – mimo naszej woli. Jednakże na swój sposób szczególnym, pośród rygorów narzucanych nam przez tyle lat, pośród zdarzeń upływającego wieku. Pierścień z krwawnikiem to mój symbol niezbywalności lat minionych i mijających – lat życia. Niekiedy dobrych, to znów tragicznych, ale zawsze stygmatyzowanych odmiennością – rodowodem czasu, który przemijał inaczej, pod innym niebem, z innym widokiem z okna. Pierścień, który noszę będzie może dla wielu metaforą niepotrzebną i niezrozumiałą. Realności pochłaniający czas teraźniejszy, zapatrzeni wyłącznie w jutro, nie rozszyfrują jej zapewne. Im niepotrzebny taki pierścień, bo być może że wraz z nim trzeba udźwignąć i zbyt wielki i niewygodny ciężar pamiętania. pośród

udogodnień i udobrzeń kończącego się wieku, wśród informatycznego szumu także na ścieżkach historii, prawda jak i nasze życie jakby straciły cenę. To złożone zjawisko, po wielokroć i wieloznacznie tłumaczone, ale nam trzeba pośród niego żyć. Wierzcie mi – pierścień założony ta, – pomaga. Jest lwowski, kresowy, własny.

W 39 numerze „Tygodnika Powszechnego” ciąg dalszy polemiki z artykułem prof. Osadczyka „Trudne pojednanie”. Autor poddał w nim krytyce książkę Wiktora Poliszczuka – także Ukraińca – „Gorzka prawda: zbrodnicość OUN – UPA”. Autorzy polemiki, a jest ich sporo, w tym W. Poliszczuk neglżują Osadczyka z wszystkiego, co w swoich publikacjach zataja, w historii rzekomo nie dostrzega, bądź ucieka ścieżkami niewiedzy i kwestionowania źródeł. Pomaga mu w tym redaktor TP – Andrzej Romanowski, znany zresztą autor tematów wschodnich. Dlatego drażni u niego nieprecyzyjne „ustawianie” ludzi uzbrojonych i strzelających na Kresach w czasie wszystkich okupacji, drażni powoływanie się na przypisywany nam przez Francuzów kolonialny (!) charakter obecności Polaków na wschodnich rubieżach (historycznie od Dulębów i Bużan, a więc prozachodnio zorientowanych Słowian – przyp. J.M.). Przemilczanie eksodusu naddnieprzańskich Rusinów przed nawałą mongolską i taki właśnie generalny mechanizm obecności dzisiejszych Ukraińców w b. Małopolsce Wschodniej – jest nieporozumieniem, historyczną nierzetelnością. Jeżeli mamy już mówić o źródłach, to powiedzmy sobie wszystko. Do końca. Nazywanie wojną polsko-ukraińską pożogi, która przetaczała się przez Kresy w latach 1939-1947, przez autora tej miary co A. Romanowski, zaskakuje. Nazywanie rzezi walką o niepodległość tym bardziej. Zbrodnia UPA w późniejszej historii Europy i świata nie pozostały osamotnione, ale czyżby to miało oznaczać przekwalifikowanie norm moralnych, a także walki. Czyżby prof. Osadczyk, a i A. Romanowski nie mieli nigdy w rękach wrocławskich zeszytów „Na Rubieży”, pisma wydawanego starannie i źródłowo przez Stowarzyszenie Upamiętniania Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Trudno zaiste przyznać, że prócz wiarygodnej dokumentacji o coś jeszcze w zamieszczanych w piśmie publikacjach chodzi. A nie dostrzegając tych podstawowych źródeł czyżbyście Panowie chcieli zataić, że walec ukraińskiego nacjonalizmu, przetoczony na Wołyniu, Podolu i Pokuciu, był jedną z najstraszliwszych w dziejach hekatombą sprawioną przez jeden naród drugiemu? Jakże posiadli prawo Osadczyk i jego prawie adwersarz – Romanowski tę hekatombę mianem wojny polsko-ukraińskiej nazywać i dorabiać wojenną frazeologię do roztrzaskiwania dziecięcych główek, do pochówków stert ofiar w studniach, do podsycania zagwi chat, stodół i świątyń żywymi kobietami, starcami i dziećmi – głównymi przeciwnikami w „walce”. Nie ma zgody na pańskie, panie Redaktorze patrzeć na wojnę. Kończy Pan dyskusję na ten temat na łamach „Tygodnika”. Ejże, czy nie przedwcześnie? Czy to aby nie obawa, aby 40 zgodnymi głosami wypowiadali się korespondenci TP. Czy Pańska decyzja to nie potwierdzenie głosu J. Sury, że krakowski Tygodnik został opanowany przez OUN? Na pewno nie dosłownie, ale Pańska wypowiedź czyni wrażenie, że pokrętnie treści są przez was akceptowane. W imię czego? W imię zgody między nami a Ukraińcami? W tym, co Pan napisał, jest wiele prawdy, jest Pańskie wyraźne

stanowisko w kwestii pojednania. Proszę liczyć się jednakże z racją kresową, uczeploną odwiecznymi, ale nie kolonialnymi korzeniami tamtej krainy, którą tak dramatycznie opuszczaliśmy. Nie w wojennym starciu z narodem, z którym współżyliśmy przez wieki, a zmuszeni strumieniami prawie wyłącznie naszej krwi, naszego osierocenia ze wszystkiego. Tak, Panie Redaktorze – ze wszystkiego, bo tam był nasz świat, który nas rodził, pozwalał żyć i użyczał mógł. My chcemy „podać rękę Kozakowi” tylko nie na klęczkach, a na równych prawach i warunkach. Potrzebna jest odwaga i determinacja w wyznaniu win i pochylenia się w zgodzie nad mogiłami rozsianymi niegdyś na naszych Kresach, dziś na Ukrainie. Nie może być miejsca na wyłączone myślenie o przyszłości. Prawda historyczna, nawet

najtragiczniejsza, lecz odczytana jak należy, może też łączyć – nawet w bólu. To pokora jest ceną i wartością. Dajmy jej zielone światło.

Wybaczenie mi Czytelnicy, że zagalopowałem się tym razem na ścieżkę nie moją. Sądzę jednakże, że łamy SF powinny trafiać do Waszych rąk nie tylko ze wspomnieniami. Lwów i Kresy z pozostawioną tam naszą, wielowiekową obecnością – istnieją. I czy nam to dziś jest wygodne czy nie, historia wpisała nas w te rubieże tak trwale, że przyszło nam unieść stamtąd pierścien z krwawnikiem. Pierścien naszej pamięci. I tylko życzyć by się chciało, aby pamięć naszych sąsiadów – dałby Bóg, w przyszłości – braci, była chociażby rzetelna. Tak mało chcemy, a może tak wiele. Czyż nie oplaca się jednak każda cena za przyszłość?

Antoni Lenkiewicz

17 września 1939 r. – sowiecka agresja i polska obrona

W dwudziestolecie międzywojennym Polska wykazywała wobec swoich sąsiadów dobrą wolę i dosyć skutecznie stosowała metodę porozumień bezpośrednich. Nie było naszą winą, że porozumienia te okazywały się „świszkami papieru” bez znaczenia.

26 listopada 1938 r. z polskiej inicjatywy podpisany został dodatkowy protokół, który stwierdzał: „Stosunki między Polską a Związkiem Sowieckim są i będą nadal oparte w całej rozciągłości na wszystkich istniejących umowach, włącznie z polsko-sowieckim paktem o nieagresji z 25 lipca 1932 r., który obowiązuje do 31 grudnia 1945 r.”.

Pierwszą osobą, która musiała podjąć walkę z sowiecką bezczelnością, był ambasador RP w Moskwie – Wacław Grzybowski. 17 września, wkrótce po północy został on wezwany do Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRR, gdzie usiłowano doręczyć mu notę, zawierającą następujące sformułowania: „Wojna polsko-niemiecka ujawniła wewnętrzne bankructwo państwa polskiego (...) Warszawa przestała istnieć jako stolica. Rząd polski rozpadł się i nie przejawia oznak życia. Oznacza to, że państwo polskie faktycznie przestało istnieć (...) Biorąc pod uwagę tę sytuację, rząd sowiecki zamierza przedsięwziąć wszystkie kroki, aby wyzwolić naród polski od nieszczonej wojny, w którą został wplątany przez swoich nierozumnych przywódców i dać możliwość zacząć żyć w pokojowych warunkach”.

Zachowując się z wielką godnością i odwagą, ambasador polski poinformował sowietów, że kilka godzin wcześniej rozmawiał telefonicznie z ministrem Beckiem, że twierdzenia noty są kłamliwe i obraźliwe, że w tej sytuacji stanowczo odmawia przyjęcia tego rodzaju dokumentu. Jest paradoksem, że przeciw uwięzieniu Grzybowskiego i całego personelu polskiej ambasady w Moskwie, w sposób bardzo stanowczy interweniował ambasador Rzeszy Niemieckiej – Schulenburg.

Być może dlatego, że zegarki nie były w Armii Czerwonej w powszechnym użyciu, agresja na Polskę rozpoczęła się bez wojskowej precyzji. W okolicach Podwoleczysk i Husiatynia na terenie województwa tarnopolskiego atak rozpoczął się

już około godziny 2, a bardziej na północ o godzinę, półtorej, dwie a nawet cztery godziny później. Wbrew temu, co tak często i uporczywie powtarza propaganda PRL, używając enigmatycznego słowa „wkroczenie”, wojska Korpusu Ochrony Pogranicza – KOP, nigdzie nie dały się zaskoczyć, a nie zwiędłe sowieckimi maskaradami z białymi flagami i okrzykami: „Idiom na Germanca”. Wszędzie witano napastników, tak, jak na to zasługiwali – seriami z karabinów maszynowych. W okresie następnych dwóch tygodni (od 1 października 1939 r.) od granicy z Rumunią, aż po granicę z Lotwą, toczyły się walki z sowieckimi agresorami. Sowietci utworzyli przeciwko Polsce dwa fronty: „białoruski” – pod dowództwem „komendanta armijnego” – Kowaliewa i „ukraiński” – pod dowództwem Timoszenki. Wizualnie żołdactwo sowieckie wyglądało obskurnie, a nawet żałośnie, ale w swojej masie była to siła ponad 600 tysięcy żołnierzy.

KOP był niewątpliwie najlepszym polskim wojskiem, ale prawie wszystkie jego jednostki skierowane zostały do walki z Niemcami. Na granicy wschodniej pozostawiono jedynie 24 bataliony, składające się w znacznej części z rezerwistów. Dowódcą KOP był gen. Wilhelm Rueckemann. Siłami, które miał w swojej dyspozycji, dowodził dzielnie, mądrze i skutecznie.

Wśród różnych zafalszowań historycznych na temat wojny sowiecko-polskiej 1939 r. szczególnie krzywdzące dla władz II RP było, a w szerszej opinii pozostało do chwili obecnej, pomówienie, że władze te opuściły kraj, nie ogłaszając w sposób urzędowy, że Polska znalazła się w stanie wojny z ZSRR.

Kłam temu zadają dwa dokumenty bardzo starannie przemilczane w PRL. Pierwszym z nich jest Orędzie Prezydenta RP wydane 17-IX w Kosowie, które głosiło: „Gdy armia nasza z bezprzykładnym męstwem zmagą się z przemocą wroga od pierwszego dnia wojny aż po dzień dzisiejszy, wytrzymując napór ogromnej przewagi całości beznamiętnie niemieckich sił zbrojnych, nasz sąsiad wschodni najechał nasze ziemie, gwałcąc obowiązujące umowy i odwieczne zasady moralności (...) Polska sprzymierzona z Francją i Anglią, walczy o prawo przeciwko bezprawiu, o wiarę i cywilizację przeciwko bezduszne-

mu barbarzyństwu, o dobro przeciwko panowaniu zła w świecie."

Drugim dokumentem państwowym informującym o agresji ZSRR wobec Polski była depesza do naszych ambasadorów przesłana przez Edwarda Raczyńskiego z Londynu do: Waszyngtonu, Sztokholmu, Rygi, Kopenhagi, Mexico, Tallina, Oslo, Buenos-Aires, Tokio i Rio de Janeiro. Najistotniejszy fragment tej depeszy brzmiał, jak następuje: „Z polecenia mego Rządu mam zaszczyt zakomunikować, że 17-IX ZSRR dokonał agresji przeciwko Polsce. O świecie znaczne siły sowieckie przekroczyły granice polskie w kilku punktach. Wojska polskie przeciwstawiały się temu i cofają się walcząc."

„Sowiety wkroczyły. Nakazują ogólne wycofanie się na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony, albo próby rozbijania oddziałów” – tak brzmiał, słuszny niewątpliwie, z taktycznego punktu widzenia, rozkaz marszałka Rydza-Śmigłego. 17 września na obszarze 2/3 Rzeczypospolitej władzę sprawowała polska administracja. Z Niemcami walczyło jeszcze 25 polskich dywizji, a z sowietami bataliony KOP, ale dalsze wykrwawianie polskich wojsk, bez przyrzeczonej pomocy Wielkiej Brytanii i Francji, traciło sens. Wojny nie kończyła przecież przegrana kampania na terenie Polski. Naczelny Wódz uważał najzupełniej słusznie, że w tej sytuacji, która powstała po 17 września 1939 r., Armię Polską trzeba będzie odtworzyć we Francji, aby tam bronić naszych interesów. „Będziemy jeszcze bić się za Polskę i wrócić do Polski przynosząc Jej zwycięstwo” – napisał w swoim ostatnim rozkazie.

Niezależnie od dobrych intencji faktem jest również i to, że „dyrektywa” wywołała wiele nieporozumień, zarówno w bezpośrednim odbiorze, jak również w historycznych ocenach, a szczególnie w propagandzie sowieckiej, która przez wszystkie lata PRL przekręcała sens „dyrektywy” i twierdziła, że Naczelny Wódz zabronił bić się z sowieckim agresorem. Cytując „dyrektywę” marszałka Śmigłego-Rydza pomijano zawsze fragment, który wyjaśniał „chyba w razie natarcia z ich strony, albo próby rozbijania oddziałów”. Wśród dowódców, również wysokiego szczebla (gen. Rómmel) nie zabrakło takich,

którzy skłonni byli odbierać „dyrektywę”, bez powyższego fragmentu.

Chroniąc nasze wojsko Naczelny Wódz, nie mając jeszcze pełnych informacji, miał prawo dopuścić możliwość, że Sowietci ograniczą się do zajęcia terenu. Wkrótce okazało się, że takiej woli nie było, że uzgodnionym celem Niemców i Sowietów było odcięcie wojskom polskim dróg na „przedmoście rumuńskie” i na Węgry.

Ważniejsze walki i bitwy na froncie wschodnim miały miejsce w następującym czasie:

– 18 września, ciężkie walki obronne trwały na fortyfikacjach tzw. „Linii Sosnkowskiego”, na północnym Wołyniu.

– 19 września, zacięte walki toczyły się koło Werby, między Kowlem a Włodzimierzem Wołyńskim. Na linii Sarny – Równe skutecznie działał pociąg pancerny „Bartosz Głowacki”.

– Od 19 do 21 września, bohatersko broniło się miasto Grodno. Zniszczono tam kilkanaście sowieckich czołgów.

– Od 20 do 22 września, dowodzone przez gen. Orlika-Rueckemanna oddziały KOP w sile około 7 tysięcy żołnierzy, skoncentrowały się w okolicy Moroczna, Siedliszcz i Rafałówki, rozpoczynając w ciężkich walkach przebijanie się na zachód, w celu połączenia się z Samodzielną Grupą Operacyjną „Polesie”, pod dowództwem gen. Kleeberga.

Gen. Orlik odniósł kilka zwycięstw nad wielokrotnie silniejszymi oddziałami sowieckimi (Bitwy pod Szackiem i pod Wytycznem).

SGO „Polesie”, zanim stoczyła swoją ostatnią – październikową już – bitwę pod Kockiem z Niemcami, przez kilka dni toczyła krwawe boje z Armią Czerwoną, która nie mogła zatrzymać polskich oddziałów, mimo wielkiej przewagi w ilości czołgów, artylerii i lotnictwa.

Trwały jeszcze walki, gdy w nowym niemiecko-sowieckim układzie (podpisanym 28 października 1939 r.) postanowiono: „Rząd Rzeszy Niemieckiej i rząd ZSRR uważają, że po upadku byłego państwa polskiego ich wyłącznym obowiązkiem jest odbudowanie pokoju i ładu na tych terytoriach”.

Zbigniew Girulski NKWD straciło ślad

Urodziłem się na Dzisieńszczyźnie w przygranicznym miasteczku Dokszyce na skraju Puszczy Hołubickiej tam, gdzie z bagien koło Dokszyce bierze swój początek rzeka Berezyna, znana z opisów odwrotu Napoleona.

Matka moja była nauczycielką, a ojciec policjantem, początkowo w Dokszycach, a potem w Królewshczyźnie.

Ojciec trafił w te zapomniane przez Boga i ludzi nadgraniczne przykordonowe kąty służąc w Konnej Policji Granicznej. Tata walczył w 1920 roku w obronie Wilna w 13-tym Pułku Ułanów Wileńskich, został ranny. Po dosyć długiej kuracji został zdemobilizowany i bezrobotny. Wówczas to wstąpił do Policji i jako kawalerzystwa naturalnie do Policji Konnej tj. Granicznej. Później został przeniesiony do zwykłej Policji Państwowej jako komendant posterunku w miasteczku Królewshczyzna.

Królewshczyzna była węzłową stacją kolejową na linii kolejowej Lida – Mołodeczno – granica państwowa – Połock i była miasteczkiem typowo kolejarskim z całą infrastrukturą z tym związaną.

Kręcąc się po okolicach Królewshczyzny czy to w poszukiwaniu grzybów, czy ochłody razem z żabami w stawkach wielkości dużego pokoju, natykaliśmy się bardzo często na linie starych okopów albo pojedyncze wnęki strzeleckie – były to ślady zaciekłych walk z bolszewikami z 1920 roku. Tak w skrócie objaśniał nam wówczas Tata.

Dzisiaj wiem, że były to ciężkie walki obronne, które toczyła na tym terenie w pierwszej dekadzie lipca 1920 roku I Armia Wojska Polskiego (około 39 000 bagnietów i szabel) z IV, XV i III armią wojsk sowieckich pod wodzą Tuchaczewskiego (w sumie około 100 000 ludzi). Atak szedł jak zwykle, od wieków „bramą smoleńską”; na odcinku północnym od granicy lotewskiej i Mior atakowała IV armia. Największe uderzeniowe zgrupowanie XV-tej armii nacierało wzdłuż linii kolejowej Połock – Mołodeczno a Królewshczyznę i Głębokie z

wyjściem na Hermanowicze i Szarkowszczyznę (około 46 000 bagnatów i szabel) IV armia sowiecka, bardziej na południu, nacierała na kierunku Dokszyce – Wołokolata. Na cmentarzu w Królewsczyźnie była duża kwatera mogił żołnierskich z 1920 roku.

Wspominając nasze życie w Królewsczyźnie dodam, że warunki życiowe były raczej cywilizowane i ustabilizowane, a materialne chyba dobre tzn. bez wystawności, ale bez specjalnych ograniczeń. Tato zarabiał, o ile pamiętam, około 200 zł miesięcznie, mieliśmy służącą, a Mama nie musiała iść do pracy.

Ten spokojny, ustabilizowany i szczęśliwy świat mojego dzieciństwa zawałił się w nocy z 16 na 17 września 1939 roku.

Zostaliśmy obudzeni alarmem w nocy! Sowieci przekroczyli granicę, strażnice KOP-u jeszcze się bronią – trzeba uciekać!

W szalonym pośpiechu, zabierając podręczne rzeczy, ładowaliśmy się do pociągu. Panowało potężne zamieszanie – tej inwazji się chyba nie spodziewano!

Tata wraz z całą załogą posterunku zostawał w Królewsczyźnie w oczekiwaniu na rozkazy, my natomiast wraz z innymi rodzinami policyjnymi wyruszyliśmy do Głębokiego. Świt zastał nas już w drodze – cały pociąg składał się z lokomotywy i jednego wagonu pełnego kobiet i dzieci. Mama, prócz naszej trójki miała pod opieką jeszcze cztery dziewczynki sąsiadki pani Wizimirskiej, która była w szpitalu.

Nasza podróż pociągiem ewakuacyjnym zakończyła się po 18-tu kilometrach w Głębokim. Dalej tory były przecięte przez wojska. Czy to była prawda, czy dywersyjna informacja KPZB (Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi), nie wiem. W każdym bądź razie pociąg nie jechał dalej.

Zgłosiliśmy się do Komendy Powiatowej Policji, gdzie zastaliśmy tylko dyżurnego, a w trakcie rozmowy z nim wtargnęli „oswobodziciele” – na wszelki wypadek wyrwijąc z gniazdka telefon, przez który akurat dyżurny rozmawiał. To było moje pierwsze zetknięcie z Czerwoną Armią.

Rzecz dziwna i charakterystyczna – oddziały wkraczające do Polski składały się w przeważającej części z azjatów – osobników skośnookich i bardzo słabo mówiących po rosyjsku – tylko oficerowie to byli Rosjanie lub Ukraińcy – w każdym razie Europejczycy z wyglądu. Do tego ubrani byli dosyć nędźnie, a czapki mieli takie jak na filmach i rysunkach pokazujących wojnę roku 1920 – „budionnówki” ze sterzącym na górze szpicem z materiału. Zamiast plecaków mieli zwykłe worki przywiązane do pleców sznurkami.

Znacznie lepiej prezentowali się natomiast funkcjonariusze NKWD (Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł – w ZSRR nie było wówczas ministerstw a komisariaty). Byli więc to funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a ściślej rzecz biorąc, następcy osławionego CZEKA! i przodkowie KGB. Wszyscy, zarówno oficerowie jak i szeregowcy NKWD, ubrani byli w porządne sukienne mundury i szynele oraz okrągłe czapki z niebieskimi otokiem.

Wśród masy wojsk, czołgów widziałem mało, natomiast co uderzało, toczyło się dużo ciężkich trzyosioowych samochodów pancernych.

Wróciliśmy do Królewsczyzny.

Na posterunku i w naszym mieszkaniu gospodarowało NKWD. W pierwszej kolejności zabrali pamiątkowe szable

Taty, nagan, odznaczenia oraz wszystkie jakie znaleźli fotografie – następnie kazali opróżnić mieszkanie. Sami i przy pomocy niektórych sąsiadów, przenieśliśmy rzeczy i niektóre meble do pani Wizimirskiej, która mieszkała po drugiej stronie ulicy. Zabraliśmy nawet porąbane drzewo na opał.

Z chwilą wkroczenia „oswobodzicielskich” okupantów w sklepach zapanowały kompletne pustki, a w ślad za tym głód. Sklepy zostały spustoszone przez pierwsze wkraczające oddziały, które mogły zaopatrzyć się bez ograniczeń w białe bulki (!) i inne rzeczy bez talonów czy „kartek”.

Po kilku tygodniach zamieszkiwania u pani Wizimirskiej przeprowadziliśmy się do pani Zosi Przybylskiej. Podstawową przyczyną przeprowadzki była ciasnota w poprzednim miejscu zamieszkania. Dwie kobiety i 7-ro dzieci w dwóch pokojach to było za dużo. Właściwie trzy kobiety, bo jeszcze przebywała z nami ostatnia służąca Marysia. Oprócz tego pani Wizimirska nosiła się z zamiarem wyjazdu do rodziny.

Przyjęcie nas przez panią Zosię Przybylską było aktem dużej odwagi – przyjmowała przecież „zadżumionych”, będących „solą w oku” NKWD. Okazała się prawdziwym Polakiem, człowiekiem i przyjacielem, w tym czasie gdy cały szereg dotychczasowych znajomych lub „przyjaciół” rodziców „nie poznawało” Mamy lub unikało spotkań. W tej sytuacji można było dopiero poznać prawdziwą wartość człowieka. Najbardziej wyzywająco i triumfująco zachowywali się Żydzi, aczkolwiek i tu było sporo wyjątków np. pani Ginasburgowa zawsze Mamie po cichu wetknęła jakąś chławkę, mimo że już panował głód (zginęła wraz z rodziną podczas likwidacji Getta w Głębokim).

Mama bardzo ciężko przeżywała rozstanie z Tatą. A tu nie wiadomo, czy Tata zdążył wycofać się i gdzie jest! Kamień spadł nam wszystkim z serca, a Mama wręcz odżyła, gdy dostaliśmy list adresowany rzecz jasna do zaufanych z wiadomością, że Tata żyje i jest internowany na Lotwie w Rezekne.

Mimo ciężkich przeżyć Mama wykazała ogromną energię w tych trudnych czasach, co umożliwiło nam przeżycie. Panował głód. Pieniądze w zasadzie nie miały wartości. Wartość miały tylko rzeczy i te trzeba było zamieniać na żywność u wybrzydających chłopów. Mama część rzeczy zamieniła na żywność, część sprzedała (zwłaszcza meble) za bezcen, będąc w przymusowej sytuacji. Jak już wspomniałem, utkwily mi w pamięci różne drobiazgi. Na przykład z tego głodnego okresu pamiętam smalec topiony z drobnymi skwareczkami i cebulą, którym częstowała nas pani Przybylska na pajdach czarnego chleba – pyszności!

Kupić w sklepie można było tylko przydział („pajok”) składający się z czarnego chleba i wobły. Tu potrzebne jest wyjaśnienie: wobla jest to ryba wielkości dużej płoci poławiana w Woldze, następnie solona i suszona na wolnym powietrzu, na wietrze i słońcu. Jest bardzo twarda i słona (obecnie w Rosji jest poszukiwaną zakąską przy picu piwa).

Ale to tylko dygresja. Wracając do warunków, w jakich żyliśmy. Mam była codziennie wzywana na przesłuchania do NKWD. Tam waląc pięścią w stół bez przerwy wypytywano o kontakty Taty i o znajomych – zwłaszcza tych z fotografii, no i naturalnie czy ma jakieś wiadomości o Tacie. Każda „rozmowa” kończyła się zapewnieniem, że „od NKWD nikuda nie ujdiesz”. Później Mama dostała nakaz meldowania się w NKWD co 3 dni.

Wojska przemaszerowując przez Królewsczyznę – a prze-walały się ich masy zawsze ze śpiewem na ustach – miały ulubioną piosenkę, której refren brzmiał „wspomniat psy – atamany, wspomniat polskije pany naszy gordyje ruskie sztyki”. W tle towarzyszył temu ryk syren przejeżdżających po-ciągów (tory zostały szybko poszerzone) – rosyjskie lokomo-tywy nie miały gwizdków tak jak polskie, ale syreny zbliżone dźwiękiem do okrętowych.

W styczniu zaczęły krążyć pogłoski o przygotowywanych „wywózkach”. Naturalnie jako rodzina policjanta i to w do-datku komendanta policji byliśmy pierwsi na liście. Nie wiem, czy Mama miała jakieś poufne informacje, czy tylko przeczy-cie, ale na kilkanaście dni przed pierwszym eszalonym „wy-

wózkowym”, który sformowano 10 lutego 1940 roku, wyje-chaliśmy z Królewsczyzny.

Przyjechał po nas w dwoje sań Janek Alchimowicz z Józe-fowa (stryjeczny brat Mamy) ze swoim szwagrem Szantyrem i bardzo wczesnym rankiem, przed świtem, w końcu stycznia 1940 roku, wyruszyliśmy do Dżisny przez Szarkowszczyznę i Hermanowicze – około 100 km. Sanna była dobra, mróz kilkanaście stopni, ale ząkopani w kożuchy i burki znieśliśmy drogę całkiem dobrze. Nocleg był koło Szarkowszczyzny w folwarku Szantyrow. Na następny dzień pod wieczór przyje-chaliśmy do Dżisny.

NKWD straciło ślad!

Michał Mazur

Orlęta, Samodzielny Oddział Młodszej Grupy Wieko-wej Związku Strzeleckiego w Drohobyczu – Polminie.

Z inicjatywy dyr. kadr Państwowej Fabryki Olejów Mineralnych „Polmin” w Drohobyczu – komendanta Sa-modzielnego Kompanii Związku Strzeleckiego (ZS) na Po-lminie, kpt. Eugeniusza Paślowskiego, w 1939 r., utwo-rzono Samodzielny Oddział Młodszej Grupy Wiekowej Związku Strzeleckiego, której dano nazwę ORLĘTA.

Oddział tworzyli chłopcy z powiatu drohobyckiego, urodzeni w latach 1924-1931. Dla nich, na koszt Polmi-nu, postanowiono zorganizować obóz letni, od 10 lipca do 10 sierpnia 1939. W maju i w czerwcu trwały intensywne prace przygotowawcze. Kompletowano kadrę dla obozu, szyto mundurki oraz wykonywano różne prace związane z urządzeniem obozu.

Kadrę obozu tworzyli: ogólna piecza nad obozem – kpt. Eugeniusz Paślowski; komendant obozu – por. Kała-marz, jego zastępca sierż. – Antoni Biedka. Sprawy ogólnowojskowe powierzono Strzelcom – instruktorom: Janowi Ilykowi, Kosmali, Władysławowi Plejstekowi; kulturalno-oświatowe, Strzelczynom – instruktorom: Irenie Belżówniej, Dubiel, Janickiej, Korzymiskiej i Helenie Pa-

ślowskiej. Kuchnia – kucharki: Franciszka Dudziak (Strzel-czyni) z Marcinpola, Niemias i NN. Nazwisk pomocni-ków w kuchni i stołówce nie ustaliłem.

Obóz zorganizowano w dwupiętrowym budynku Pu-blicznej Szkoły Powszechnej w Drohobyczu-Kolonii (Po-lminie). Salę gimnastyczną przystosowano na „sypialnię” dla Orląt, a kuchnię i stołówkę umieszczono w suterenie. Była to szkoła bardzo nowoczesna. Posiadała: pięknie urządzone i wyposażone gabinety przedmiotowe i izby lek-cyjne, salę gimnastyczną o pełnych wymiarach z wyposa-żeniem i sceną, obok sali natryski, „wodopój” w holu, w ubikacjach umywalki i lustra. Przy szkole było boisko sportowe z bieżnią (z boiska korzystał również piłkarski klub sportowy Polminu „Strzelec”), boiska do gier ma-łych oraz, przy boisku, odkryty basen kąpielowy. Nad salą gimnastyczną mieściła się kaplica rzym.-kat. Drugą część budynku zajmowała „Ochronka” prowadzona przez siostry zakonne. Cały budynek ogrzewano gazem ziemnym.

Na obóz powołano 50 chłopców z powiatu drohoby-ckiego, z następujących miejscowości: Bolechowce – Mi-chał Lyko; Fedorce – Mikołaj Drozda, Władysław Dro-zda, Stefan Dudziak, Jan Zacharko; Gaje Wyżne – Potok – Michał Franków, Stanisław Pańczyszyn, Stanisław Szczudło, Bronisław Świerniak, Stanisław Świerniak, Franciszek Więckowski; Lipowiec – Piotr Chorążyk, (imię NN) Chorążyk, Stanisław Jaśków, Kazimierz Kubów, Władysław Kubów, Franciszek Krzyśków, Franciszek Mańczak, Stanisław Maćkała, Józef Osiołek, Stanisław Stadnik, Michał Szkondziak; Marcinpol – Stanisław Cho-micz, Mieczysław Dudziak, Jan Nikoła, Władysław Wójtowicz, Poczajowice – Hałabut, Władysław Konik, Jan Pielech; Polminowice – Michał Mazur (na obozie, jedyny z 1931 r.), Fryderyk Spanier (Niemiec-katolik), Franciszek Witek; Słońsko – Michał Raszczuk, Włady-sław Wolf (była to liczna grupa, pozostałych nazwisk nie ustaliłem).



Drohobycz-Kolonia (Polmin), lipiec 1939 r. Oddział Orląt z kadrą obozu.

Orlęta, z miejsca zamieszkania na obóz, dowieziono polminowskimi autobusami. Wszyscy zostali ostrzyżeni na „zero”. Następnie była kąpiel. Po kąpieli, każdy otrzymał granatowe spodnie, biały podkoszulek i udawał się do „sypialni”. Tam czekał na nich ks. Tadeusz Kostka – proboszcz parafii Gaje Wyżne. Z Orlętami spędził całe popołudnie i wieczór. Dzień zakończył się pierwszym, wspólnym posiłkiem.

Na drugi dzień każdy otrzymał umundurowanie: granatowy beret z orzelkiem strzeleckim, bluzę (guziki ZS), spodnie do kolan i pas. Chodzili boso. Wprawdzie szewc pobrał miarę na buty, ale Orlęta miały je otrzymać dopiero w 1940 r. Planowano bowiem, że na obozie w 1940 r. będzie około 200 Orląt.

Każdy dzień rozpoczynał się pobudką o godz. 6.15 i gimnastyką poranną na boisku oraz apelem porannym: flaga na maszcie, śpiewanie pieśni „Kiedy ranne wstają zoroze...”, rozkaz dzienny.

W ciągu dnia prowadzono różne zajęcia typu wojskowego, m.in.: musztra, taktyka obrony i ataku (raz odbyły się ćwiczenia nocne), poznawanie regulaminów, budowę karabinu (odbyło się jedno strzelanie z wiatrówek) i maski przeciwgazowej.

W czasie zajęć kult.-oświatowych, poprzez poznawanie dziejów Polski, kładziono nacisk na wychowanie patriotyczne – wpajano gorącą miłość do Ojczyzny. Omawiano aktualną sytuację w Europie, mówiono o zagrożeniu dla Polski, uczono pieśni Związku Strzeleckiego, organizowano wycieczki, przygotowywano ogniska.

Po kolacji (po godz. 18.00) apel wieczorny: pochwały i wyróżnienia, śpiewanie pieśni „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”, flaga z masztu.

Po apelu, w grupach, odbywały się zajęcia kult.-oświatowe, m.in.: różne gry i zabawy, układano (głównie instr. I. Belżówna) i śpiewano kuplety o życiu obozu (o kadrze też) oraz przygotowywano część artystyczną na ognisko. O godz. 21.00 każdy kładł się do łóżka.

Każdego dnia było pięć posiłków – urozmaicone i smaczne. Śniadania, obiady, kolacje rozpoczynano i kończono modlitwą. Co niedziela cały Oddział Orląt udawał się do kaplicy na Mszę św. Wszyscy stali w środkowej części kaplicy. W razie choroby korzystano z ambulatorium na Polminie.

Podczas trwania obozu, urządzono na boisku dwa ogniska, połączone z występami artystycznymi Orląt, na które autobusami i samochodami osobowymi przywożono rodziców. Program ogniska był bardzo urozmaicony.

Odbyły się dwie wycieczki autokarowe i jedna piesza. Autokarowe: do Gajów Wyżnych-Potoku – zwiedzano nowo wybudowany kościół (każde Orlę otrzymało czekoladę), do Słońska – na festyn urządzony przez miejscowy ZS. Orlęta otrzymały bezpłatne bony, które realizowały w bufecie (napoje) i losy na loterię. Wielu wróciło do obozu z różnymi fantami. Wycieczka piesza – do lasu na maliny (okolice Delawy – Gaje Niżne).

Pierwsze miejsce na obozie zajął Franciszek Witek z Polmanowic. W nagrodę otrzymał, na uroczystym, pożegnany apel, ciupagę góralską i komplet zdjęć wykonanych w czasie trwania obozu.

Po zakończonym obozie wszystkich uczestników obozu odwieziono do domu polminowskimi autobusami. Jeden skierowano w kierunku Gaje Wyżne, a drugi Słońsko-Lipowiec.

Był to pierwszy i zarazem ostatni obóz Orląt w Drohobyczu. Jego inicjator, Eugeniusz Paślawski, wraz z żoną i synem Zenonem, w listopadzie 1939 r. został aresztowany przez NKWD i deportowany w głąb ZSRR. Dalszy jego los nie jest znany.

Z-ca kmdt. obozu, sierż. Antoni Biedka, należał do AK. W 1945 r. został aresztowany przez NKWD i wywieziony do Workuty, gdzie przebywał, jako więzień, do 1955 r. Wrócił do Drohobycza i tam zmarł 10 lutego 1956 r. w 59 roku życia.

Instruktor Jan Ilyk, od 19. 09. 1945 r. do 1945 r. przebywał na Węgrzech, w obozie dla internowanych. Obecnie mieszka w Dzierżaninie Wielkim w woj. pilskim. Los pozostałych osób z kadry obozu jest nieznany.

Na obozie zawiązały się nowe przyjaźnie. Utrzymanie ich, niestety, przerwała II wojna światowa, która rozproszyła Orlęta po całej Polsce. Los Orląt w czasie okupacji (1939-1945) układał się różnie. Niektórzy należeli do AK, inni, w 1945 r. w Drohobyczu, zostali wcieleni do „Istriebitielnego Batalionu”.

Do AK należał Franciszek Witek, ps. „Janek”. Brał udział w wykolejeniu pociągu pod Rajłowem k. Stryja i ataku na transport wojskowy na Wygodzie. Do Istriebitielnego Batalionu powołano: Mikołaja Drozdę, Jana Pielecha, Władysława Wojtowicza.

Po wojnie, wielu podjęło naukę w szkole zawodowej, średniej i studia. Wykonywali różne zawody, zajmowali odpowiedzialne stanowiska. Wielu już zmarło: Mikołaj Drozda, Władysław Drozda, Stefan Dudziak, Jan Nikołak, Stanisław Chomić, Stanisław Szczudło, Piotr Chorażyk, Jan Pielech, Władysław Wolf.

Obecnie, znane mi, były Orlęta mieszkają w: Przemyśle – mgr inż. Franciszek Witek, b. dyr. Tech. Mech.-Elektr. w Przemyśle, emeryt; w Bolesławcu – Mieczysław Dudziak, ukończył szkołę zawodową, emeryt; w Ujeździe Górnym (woj. wrocławskie) – Władysław Wojtowicz, rolnik; w Nowej Soli – Franciszek Krzyśków, rolnik; w Kocieniu Wielkim (woj. pilskie) – Franciszek Więckowski, rolnik; w Kuźnicy Czarnkowskiej (woj. pilskie) – Bronisław Świerniak, nauczyciel, emeryt; w Pile – ppłk Michał Franków, emeryt; w Poznaniu – mgr Michał Mazur (historyk), b. dyr. szkoły pdst. Nr 4 w Nowej Soli, emeryt, autor monografii: „Neudorf-Polminowice. Współżycie wielonarodowościowej społeczności w regionie drohobyckim”: mgr mjr Stanisław Pańczyżyn, emeryt; mgr płk Stanisław Świerniak.

Lwowski dokument

Publikujemy po raz pierwszy fragmenty rękopiśmiennej kroniki katedry lwowskiej obrządku rzymskokatolickiego p.w. Wniebowzięcia Najświętszej Marii z okresu czerwiec 1921 do września 1939 r. Kronika ta odnaleziona została przez p. Czesławę Cydzikową (długoletniego więźnia Workuty) w roku 1965 r. we Lwowie. Ten wielkiej wagi dokument historyczny skazany był na zniszczenie, gdyż leżał w stercie starych książek i papierów, przygotowany jako materiał opalowy do ogrzewania mieszkania w jednym z domów dzielnicy Filipówka we Lwowie. Poniższy tekst publikujemy za zgodą p. Czesławy Cydzikowej.

Kronika katedralna (fragmenty)

„15 sierpnia 1925 r. W uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Panny Marii sumę pontyfikalną odprawił ks. arcybp Twardowski. Kleryków do asysty było 7, resztę poproszono od OO Franciszkanów. W czasie sumy grała orkiestra (sami Żydzi) i śpiewał chór „Lutnia”. Kazanie wygłosił ks. kanonik

Warszylewicz. Po sumie odśpiewano „Te Deum” i „Boże coś Polskę”, gdyż jest to piąta rocznica Cudu nad Wisłą.

W związku z przeniesieniem trumny ze zwłokami Nieznajomego Żołnierza do katedry lwowskiej w dniu 30 września 1925 r. kronikarz zanotował:

„Katedrę przed całą uroczystością b. skrupulatnie zrewidowano i cały czas czujnie strzeżono przez policję. O godz. 9-tej rozpoczęła się Msza święta celebrowana przez arcybpa Twardowskiego. W fotelach zajęli miejsce: woj. Garapich i gen. Malczewski. Ponadto byli wojewodowie innych miast... Po Mszy św. egzekwie odprawił przed katedrą ks. arcybp Teodorowicz... potem odprawił kondukt ks. arcybp Twardowski w otoczeniu kleru. Wiele komentarzy kursowało z powodu nieobecności kleru grecko-katolickiego mimo, że udział ich był zapowiedziany. W kościele między delegacjami zauważono nawet dwóch rabinów żydowskich, tym bardziej więc nieobecność Rusinów mogła się nie podobać. Ponadto była w katedrze delegacja żydowskiego klubu mieszczańskiego, która u stóp katafalku złożyła wieniec”.

Spotkanie ze Stanisławem Lemem

Jadę na rozmowę ze Stanisławem Lemem przez stary Kraków, na drugą stronę Wisły. I tylko, gdy spokojnie sobie usiadłem w tramwaju, to pomyślałem – o czym będę rozmawiał z pisarzem... Przecież, ku memu wstydu, dość słabo znam jego twórczość. I nagle strzela mi do głowy – przecież urodził się we Lwowie. Jego rodzina pochodzi z Kresów. Z ulgą odetchnąłem. Wsiadam na końcowym przystanku linii tramwajowej. Krótco czekam na autobus. Pytam o ulicę Narwik. Już jestem na miejscu. Ładny, piętrowy domek z ogródkiem. Naciskam guzik domofonu. Do ogródka wyskakuje cztery czy pięć piesków różnorsowych. W drzwiach mile mnie wita gospodyni – żona Stanisława Lema. prowadzi mnie na piętro, do gabinetu pisarza. Siadamy. No i jak wcześniej pomyślałem – zaczynam rozmowę od Lwowa.

(...)

Jestem wrośnięty we Lwów.

Pochodzę, teraz już można powiedzieć, z rodziny burżuazji średniej. Mój ojciec był bardzo znanym lekarzem we Lwowie, właścicielem dwóch kamienic w mieście. To oczywiście potem wszystko przepadło.

Urodziłem się w 1921 roku we Lwowie. Uczyłem się w latach trzydziestych w II Gimnazjum Państwowym im. Karola Szajnochy. Mieliśmy bardzo mieszany zespół nauczycielski. Byli Polacy, było dwóch Ukraińców, łacinnikiem był Żyd – wszyscy na posadach państwowych. Nasze gimnazjum mieściło się na Walach Lwowskich. Z boku znajdowała się prochownia z XVI wieku, a na górę szedł tramwaj w kierunku Wysokiego Zamku, gdzie był piękny park i myśmy się tam po lekcjach bawili.

(...)

Przez 23 lata mego życia praktycznie nie wyjeżdżałem ze Lwowa. Każdy człowiek ma tylko jedną matkę i nie

można jej zmieniać na inną. Dlatego Lwów jest dla mnie niezamienialny. Przed wojną nawet nigdy nie byłem w Warszawie, nigdy nie widziałem Krakowa. Więc mogę powiedzieć, że Lwów jest częścią mnie, a ja częścią Lwowa. Jestem wrośnięty we Lwów jak drzewo...

(...)

Niestety przyszły te straszne wstrząsy września 1939 roku, kiedy Polska padła pod uderzeniem niemieckim. Potem niedługo za Niemcami weszli Sowietci... Z tego okresu mam wiele okropnych wspomnień. Widziałem we Lwowie, jak zjeżdżający z Cytadeli pułk artylerii polskiej został zatrzymany przez wyjeżdżających z bocznych ulic żołnierzy sowieckich, podobnych do Mongołów. Każdy z nich miał w prawej ręce nagan, a w lewej granat. Kazali żołnierzom polskim zdjąć pasy i zostawić broń, konie i armaty na ulicy. Wtedy miałem poczucie, że widzę śmierć Polski. I to było straszne. Staliśmy pod domem i płakali. Terror tylko się zaczął od rozbrowienia, bo dalej represje sowieckie wyglądały jeszcze okropniej.

Muszę powiedzieć, że wtedy radość Ukraińców była bardzo wielka. Wszędzie witali wojska sowieckie. Nawet wtedy powstał ukraiński slogan: Ukraińskie miasto Lwów było, je i bude radzieckim (ukraińskie miasto Lwów było, jest i będzie radzieckim). Ale potem się okazało, że radzieckim naprawdę został, a co do ukraińskiego, to w tym języku wychodziła tylko jedna gazeta „Wilna Ukraina”. Okres okupacji sowieckiej był bardzo ciężki i zaczął się od zesłań Polaków gdzieś na Daleki Wschód ZSRR.

(...)

Władza sowiecka rujnowała wszystko co polskie. Mój ojciec nadal w tym okresie pracował w szpitalu. Matka była gospodynią. Natomiast ja w 1939 r. po maturze zdałem egzaminy na Politechnikę Lwowską, ale mnie

nie przyjęto, bo niby to miałem złe pochodzenie – burżuazja. Wtedy ojciec, który był asystentem na Akademii Medycznej we Lwowie – wepchnął mnie na medycynę, bo najbardziej się bałem poboru do Armii Czerwonej. Gdybym się tam dostał, to wtedy ślad by po mnie zagał. Wstąpiłem jesienią 1939 r. na Lwowski Uniwersytet (nazywał się wtedy Lwowski Derżawnyj Medycznyj Instytut). Praktycznie mieliśmy samych polskich profesorów, którzy nawet nie umieli mówić po ukraińsku, bo to byli jeszcze profesorowie, którzy urodzili się za czasów Austro-Węgier. Wszystko się wtedy wykładało po polsku, bo Polacy stanowili większość we Lwowie. Myśmy wtedy doskonale wiedzieli, że Lwów jest trzonem polskości na tych ziemiach od prawie tysiąca lat. Nasza uczelnia mieściła się bardzo blisko Cmentarza Łyczakowskiego. Bardzo lubiłem tam chodzić. Spędzałem całe dni na tym cmentarzu. Pamiętam do dziś napisy na grobach. I dlatego bardzo przeżywałem zniszczenie przez władzę sowiecką Cmentarza Obrońców Lwowa. Poza tym był tam jeszcze osobny ukraiński Cmentarz Siczowych Strilców, który też został zniszczony. System komunistyczny był jak ten walec, który niszczy wszystko przed sobą. Ale szczególnie władza sowiecka rujnowała wszystko co polskie, żeby zamazać ślady obecności Polaków na tych ziemiach.

Okupacja niemiecka i powrót Sowietów do Lwowa.

Studiowałem medycynę aż do wybuchu wojny Sowie-tów z Niemcami w czerwcu 1941 r. W czasie okupacji niemieckiej już nie było mowy o żadnych studiach. W niedługim czasie zacząłem pracować fizycznie jako monter w garażach niemieckich. Pracowałem tam dwa lata. Robiłem coś tam w małym sabotażu przeciwko Niemcom, ale nie miałem broni w ręku. Dostarczałem dla ruchu oporu amunicję, proch artyleryjski. Miałem stałe kontakty z polskim podziemiem.

Latem 1944 r. znowu wróciła Armia Czerwona do Lwowa. Wtedy mieszkaliśmy na ulicy Zielonej. Nowa władza sowiecka powiedziała Polakom – jak kto nie wyjedzie ze Lwowa do Polski, to musi przyjąć obywatelstwo sowieckie i otrzymać nowy paszport. Nie chcieliśmy wyjeżdżać, ale też z kolei nie chcieliśmy być obywatelami sowieckimi. Mój ojciec w tym okresie marzył, że Lwów jeszcze jakoś pozostanie przy Polsce...

Wagonem towarowym do Krakowa.

Do Polski wyjechaliśmy z opóźnieniem. Wtedy już nie było tych wygodnych warunków, że można było zabrać ze sobą urządzenia domowe, tylko jakieś parę skrzynek, trochę książek, ale bardzo mało, bo zbieraliśmy w wielkim pośpiechu. Wyciągnął naszą rodzinę ze Lwowa PUR (Państwowy Urząd Repatriacyjny). I wagonem towarowym – ojca, matkę i mnie w 1945 r. przywieziono do Krakowa. Byliśmy zupełnie „goli i bosi”. Zamieszkaliśmy rodziną w Krakowie na ulicy Śląskiej w dwupokojowym mieszkaniu u krewnych.

(...)

W 1948 r. zrobiłem absolutorium z medycyny. I wtedy okazało się, że jak się kończy medycynę i dostaje dyplom, to trzeba iść do wojska jako lekarz – i nie na rok czy dwa, ale na zawsze. Nie chciałem iść do wojska, bo

wtedy nie byłoby żadnej mowy o literaturze. Dlatego specjalnie nie zdałem ostatnich egzaminów i nie mam dyplomu.

Po studiach coraz bardziej zajmowałem się pisanie-m książek i stałem się z czasem wyłącznie autorem fantastyki naukowej.

Przyszła ktoś obcy i zabrał Lwów.

Potem, w latach późniejszych, jeździłem parę razy do Moskwy, Leningradu, Charkowa. Jak mi tam proponowano, żebym jechał do Lwowa, to odmawiałem tłumacząc ludziom, którzy byli tym zdziwieni, że jak ktoś się kochał w jakiejś niewieście ożenił się z nią i żył z nią długo i szczęśliwie, a potem przychodzi ktoś obcy i ona już kocha tego innego i wychodzi za niego za męża – to jaki sens dowiadywać się, jakie ma dzieci z tym innym i jak żyje. Wolę lepiej nie mieszać się i tam się nie pokazywać, aczkolwiek zawsze podkreślałem, że Lwów i cała okolica – to moja lokalna Ojczyzna.

Mam teraz kontakty, ale niewielkie, ze Lwowem. Niedawno dałem zezwolenie lwowskiemu wydawnictwu „Kamieniar” na wydanie mojej książki „Wysoki Zamek” nieodpłatnie, bo napisali, że nie mogą przekazywać żadnych honorariów. Rosjanie mogą, choć bardzo skromne, ale jednak mogą. W Moskwie niedawno wydano w 12 tomach moje dzieła.

(...)

Nie mogłem w kraju wytrzymać.

Jak był stan wojenny w Polsce, to z rodziną wyjechałem najpierw do Berlina, potem do Wiednia, bo nie mogłem w kraju wytrzymać. Nie dało się pracować bez połączeń telefonicznych, pocztowych ze światem, a mam wydawców na całym świecie. W Wiedniu mieszkaliśmy w latach 1983-88. Tam miałem kontakty z emigracją ukraińską. Oczywiście, że między Polakami a Ukraińcami przelało się morze krwi. Każdy, kto pochodzi z Kresów, doskonale o tym wie. Uważam, że trzeba być szczerym w tych sprawach. Pisałem kiedyś w „Tygodniku Powszechnym”, że jak do Krakowa przyjechali przedstawiciele inteligencji ukraińskiej, to na początku obiecałem, że się z nimi spotkam, ale w ostatniej chwili powiedziałem, że nie mogę. Byłem świadkiem, jak Ukraińcy zabili mojego profesora na Akademii Medycznej, Polaka, Jałowego, a podziemie polskie zabiło mojego ukraińskiego profesora Lastowickoho. Oczywiście, że to przykład wzajemnej nietolerancji, która doprowadziła do przelewu krwi. Ale tego się nie da zapomnieć. Myślę, że ze względu na interes czy rację stanu narodu ukraińskiego i polskiego, musi być w tej sprawie jakiś porozumienie. Jeżeli nie będziemy szczerzy i nie dojdziemy do porozumienia, to najprawdopodobniej Rosja wcześniej czy później pokonnie Ukrainę, bo Rosja ma zawsze straszny apetyt. A to, niestety, będzie dla Polski katastrofą, bo wtedy zacznie się restytucja Związku Sowieckiego. Imperium Sowieckie może istnieć tylko wtedy, gdy Rosja podporządkuje sobie Ukrainę...

Od redakcji.

Przedruk (fragmenty dotyczące Lwowa) artykułu E. Tuzow-Lubańskiego pt. „Spotkanie ze Stanisławem Lemem” w Przeglądzie Polskim – tygodniowym dodatku literacko-społecznym nowojorskiego Nowego Dziennika z dn. 9 V 1996 r. s. 1, 15

Stanisław Rakowski

Szkoła spod znaku Hermesa w Czortkowie

Czortków, miasto powiatowe II RP leży w malowniczym jarze rzeki Seretu, prawostronnego dopływu Dniestru. W latach międzywojennych liczyło około 20 000 mieszkańców, różnych nacji, religii i kultur z przewagą ludności polskiej. Był to jeden z południowych powiatów województwa tarnopolskiego w Małopolsce Wschodniej. Miasto było wyjątkowo ruchliwe i stanowiło centrum handlowe najbliższych okolic. Ożywiało się zwykle w dniach cotygodniowych targów na Placu Rabina, odbywających się w poniedziałki. Plac zapelniał się wtedy furmankami czy saniami w zimie i rozlegało się daleko rżenie koni, porykiwanie bydła czy kwik nierogacizny. Raz do roku, w czerwcu, na świętego Piotra i Pawła odbywał się tu wielki jarmark, na który zwykle zjeżdżał cyrk Staniewskich z Warszawy i handlarze z odległych miejscowości.

Czortków pełny był wojska, znajdowały się tu koszary. Miał tu dawniej siedzibę 9 Pułk Ułanów Małopolskich przeniesiony do Trembowli, a miejsce jego zajął Korpus Ochrony Pogranicza. Znajdowała się tu również siedziba dowództwa Brygady Korpusu Ochrony Pogranicza „Podole”. W pewnym okresie dowodził nią późniejszy dowódca Armii Krajowej General Grot Rowecki.

Czortków pełen był również młodzieży szkolnej, która z odległych stron ściagała tu po naukę. Znajdowało się tu kilka szkół średnich: państwowe gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego, którego długoletnim dyrektorem był Stanisław Matuszewski, wraz bursą na Starym Czortkowie. Gimnazjum ukraińskie im. Markiana Szaszkewycza, również z bursą, którego dyrektorem był Mikołaj Babyn, Państwowe Seminarium Nauczycielskie, przekształcone po reformie jędrzejowiczowskiej na Liceum Pedagogiczne. Działalo Ognisko Muzyczne prowadzone przez profesora Kaczorowskiego. Stąd wywodziła się koncertująca w różnych miastach Polski i przed mikrofonami Polskiego Radia tamburowa orkiestra pod batutą prof. A. Czyżydy. Wychodziło tu czasopismo „Filomata” o zasięgu ogólnokrajowym, którego twórcą i redaktorem był prof. St. Krawicz oraz czasopismo „Znicz Podola”, jako oficjalny organ PTTK, którego inicjatorem był prof. Józef. Opacki.

Działalo tu również Gimnazjum Kupieckiego Towarzystwa Szkoły Ludowej, powstałe bezpośrednio przed wojną oraz Zawodowa Szkoła Żeńska Przemysłu Drzewnego finansowana przez Towarzystwo Polskiej Szkoły Przemysłowo-Handlowej.

Od roku 1931 istniała w Czortkowie prywatna koedukacyjna Szkoła Handlowa Gusty Buschgang. Szkoła Handlowa posiadała prawa szkół państwowych i przyjmowała uczniów na podbudowie siedmiu klas szkoły podstawowej, zwanej wówczas szkołą powszechną i na podstawie egzaminu wstępnego. Nauka trwała trzy lata i kończyła się egzaminem końcowym, zwaną „małą maturą”.

Program nauczania był dość rozległy i urozmaicony. Wykładano tam i uczono religii, języka polskiego, języka niemieckiego i nadobowiązkowo języka angielskiego, historii, arytmetyki handlowej, nauki o handlu, księgowości, korespondencji handlowej, geografii gospodarczej, towaroznawstwa, stenografii, kaligrafii, pisanie na maszynie oraz ćwiczeń ciele-

nych. Szkoła ta przygotowywała młodzież do zawodu kupca, do pracy w administracji gospodarczej, w spółdzielczości, w kółkach rolniczych i bankowości. Uczniowie rekrutowali się ze środowiska miejskiego i wiejskiego z różnych warstw i grup społecznych poczynając od rodzin kupieckich i urzędniczych a kończąc na dzieciach rodzin wojskowych i dzieciach rolników. Do szkoły uczęszczała młodzież pochodzenia narodowości polskiej, rusińskiej i żydowskiej. Uczniowie spoza miasta dojeżdżali pociągami, rowerami z pobliskich okolic lub mieszkali na prywatnych stancjach.

Uczniowie Szkoły Handlowej nosili, jak wszyscy uczniowie szkół średnich, strój szkolny. Chłopcy granatowe mundurki z wykładanymi kołnierzykami, z niebieskimi lampasami i błyszczącymi guzikami oraz granatowymi czapkami z niebieskimi wypustkami w formie maciejówek. Dziewczeta zaś nosiły granatowe spódniczki, białe bluzki oraz granatowe bereoty. Na lewym ramieniu obowiązywała niebieska tarcza ze srebrną cyferką 216 i literką H (każda szkoła średnia w kraju miała inną cyfrę identyfikacyjną i tak np. czortkowskie gimnazjum nosiło cyfrę 606). Literą H oznaczone były szkoły handlowe.

Oplata za naukę zwana czesnym wynosiła 25 złotych miesięcznie. Uczniowie z rodzin biedniejszych otrzymywali zniżki, a niektórzy bywali zwolnieni z opłacania czesnego.

Do Szkoły Handlowej zdalem egzamin wstępny w roku szkolnym 1936/37, po ukończeniu siedmiu klas szkoły powszechnej w niedalekiej Jagielnicy, miasteczku położonym w jarze rzeki Czerkaski w powiecie czortkowskim. Rodzice moi zamieszkiwali na kolonii Kościuszkówce, nieopodal wsi Bazar i Burakówka. Musiałem więc zamieszkać na prywatnej stancji u p. Gatnikiewiczowej przy ulicy Zamkowej na Wygnance Dolnej. Ponieważ rodzice posiadali większe gospodarstwo rolne, musiałem opłacać czesne w wysokości 25 złotych miesięcznie. Jak na owe czasy była to kwota dość znaczna, zwłaszcza dla rolnika, biorąc pod uwagę jeszcze opłatę za stancję, tym bardziej że ceny ziemiopłodów na Podolu były o wiele niższe niż w innych rejonach kraju.

Stancję miałem wygodną przy cichej i spokojnej ulicy w pobliżu ruin starego zamczyska, obok którego musiałem codziennie przechodzić. Domek nieduży, z podwórzem, usytuowany był u podnóża wysokiego jaru Seretu, porośniętego drzewami akacji i różnymi krzewami. Na podwórku była cienista altanka ze stolikiem, w której często śleczalem nad książkami. Zwłaszcza dużo czasu musiałem poświęcić nauce języka niemieckiego. Od czasu do czasu stancję wizytowali nauczyciele, a po godzinie 20 nie wolno było uczniom przebywać na ulicy. Pamiętam jak pewnego razu wysłała mnie gospodyni późnym wieczorem do apteki. Kluczyłem bocznymi uliczkami i chowałem się po korytarzach, aby nie spotkać się z nauczycielem. W ostatnim roku nauki zamieszkał ze mną na stancji Władek Szczepański z Kościuszkówki, uczeń Gimnazjum Kupieckiego (pod koniec wojny, jako żołnierz II Armii zginął na froncie pod Budziszynem).

Szkola nie miała szczęścia do stałego locum. W pierwszym roku nauki mieściła się w parterowym budynku przy ulicy Kolejowej. W drugim roku nauczania zajmowała pomieszczenia na parterze dwupiętrowego budynku Kółka Rolniczego, w którym dawniej mieściło się Seminarium Nauczycielskie, również przy ulicy Kolejowej w pobliżu cerkwi grecko-katolickiej. W trzecim roku nauki zajmowała cały dwupiętrowy budynek na Starym Czortkowie naprzeciw dużego gmachu bursy gimnazjalnej. Na dole mieściły się sale lekcyjne i sekretariat szkoły. Na piętrze gabinet dyrektora, świetlica szkolna i inne pomieszczenia.

Z ulicy Zamkowej, przy której mieszkalem, na Stary Czortków było dość daleko. Codziennie trzeba było przemierzać trasę przez most na Serecie, wówczas jeszcze solidnej kratownicowej metalowej konstrukcji, bowiem w latach ostatniej wojny został zniszczony i nie został odbudowany w dotychczasowej postaci. Następnie trzeba było przechodzić ulicą Mickiewicza, obok fabryczki mebli Rosenberga, którego syn był szkolnym kolegą, sklepu tekstylnego Wiśniowskiego (zesłanego potem na Syberię) drogerii Wyrwalskiego, obok ratusza miejskiego, aby przy kościele OO. Dominikanów skręcić w lewo w kierunku Starego Czortkowa.

Klasy szkolne nie były liczne, liczyły bowiem po około 30 uczniów. Wszyscy nauczyciele byli po wyższych studiach, przeważnie we Lwowie i Krakowie. Byli wyjątkowo uprzejmi w stosunku do uczniów, a jednocześnie wymagający. Kontynuowali dobre tradycje dawnej szkoły galicyjskiej.

Dyrektorem Szkoły Handlowej był Wilhelm Koppel, noszący zwykle binokle, człowiek okazalej prezencji, zawsze elegancko ubrany, o wysokiej kulturze bycia. W ostatnim roku szkolnym dyrektorem był Goldberg (nie pamiętam imienia), człowiek również o wyjątkowej kulturze, zawsze w eleganckim, nienagannie skrojonym szewiotowym garniturze.

W ostatniej klasie języka polskiego uczyła Zofia Sommerówna, Polka pochodząca ze Śląska, osoba młoda, w której podkochiwali się starsi koledzy. Języka niemieckiego uczyła bardzo wymagająca Róża Margules, która w czasie lekcji nie używała ani jednego polskiego słowa. Towaroznawstwa i języka angielskiego uczył Goldberg, nauki o handlu – Wilhelm Koppel a kaligrafii – nauczyciel Piekut. Historii uczył nas początkowo erudyta Marek Taffet, arytmetyki handlowej o księgowości uczyła nas p. Schachterówna, a stenografii major rezerwy Skrzywan.

Na lekcje religii rozchodziliśmy się do odrębnych klas, w zależności od wyznania. Religii rzymsko-katolickiej uczył nas Polaków dominikanin, ksiądz Edmund Sochacki, którego zakonna sylwetka do dzisiaj zachowała mi się w pamięci. Był to mężczyzna średniego wieku, noszący habit w kolorze kremowym, przepasany szerokim czerwonym pasem, a u boku zwisał mu długi do kolan różaniec. Cudem uniknął on ohydneho mordu dokonanego na czortkowskich dominikanach w czasie odwrotu wojsk sowieckich w lipcu 1941 r. W każdą niedzielę należało przyjść rano do szkoły, aby w zwartym szyku wraz z księdzem udać się na mszę szkolną do kościoła na godzinę ósmą. O godzinie dziewiątej była msza wojskowa. Na chodnikach stały zwykle tłumy ludzi przyglądających się żołnierzom KOP-u, którzy w galowych mundurach, przy dźwiękach orkiestry, defiladowym krokiem maszerowali do kościoła.

Od lutego 1939 r. zaczęliśmy przygotowywać się do egzaminu końcowego. Uczylem się wspólnie z dwoma kolegami – Piotrem Kisiem i Michałem Lubienieckim. Obaj byli Rusinami. Pierwszy pochodził z Chorostkowa a drugi z Torskiego koło Zaleszczyk. W latach ostatniej wojny polska ludność wsi Torskie poniosła dotkliwe straty z rąk band UPA. Nie było komu nawet pogrzebać licznych ofiar. A przecież w ostatnich prawie miesiącach polskiej państwowości na Kresach żyliśmy w najlepszej przyjaźni i nie było między nami żadnej różnicy. Uczyliśmy się w mieszkaniu Lubienieckiego, który mieszkał przy ulicy Kolejowej. Rodzice jego mieli gospodarstwo rolne w Torskim i aby ułatwić wykształcenie dzieci wynajmowali mieszkanie w Czortkowie. Dom prowadziła matka a ojciec co pewien czas przywoził z gospodarstwa żywność. Brat Michała, Iwan, i jego siostra, czarnooka Marusia, uczęszczali do gimnazjum ukraińskiego. Uczyliśmy się codziennie do godziny pierwszej w nocy i aby nie zasnąć moczyliśmy nogi w zimnej wodzie. Po wojnie nie spotkałem się już z nimi. Otrzymałem tylko wiadomość od ich ojca, że Iwan jest profesorem w Konserwatorium Muzycznym w Czerniowcach zaś Michał i jego siostra Marusia znajdują się w Kanadzie. Dlaczego wyemigrowali – mogę się tylko domyślać.

Szczególnie miłym towarzyskim akcentem ówczesnego życia szkolnego były modne w tych latach serenady. Zwykle późnym wieczorem zbierało się kilku muzycznych kolegów, zwykle grających na skrzypcach i mandolinach, którzy chodzili pod okna koleżanek śpiewając i grając im ulubione zwykłe tanga i inne melodie. Spotykało się to z sympatycznym odbiorem z ich strony.

Pośród wielu kolegów ostatniego roku szkolnego Szkoły Handlowej w Czortkowie pamiętam najbliższych kolegów – Edwarda Adameczyka z ulicy Zamkowej, syna rzeźnika, który miał swój sklepik na bazarze miejskim (zginął on w walkach pod Budziszynem, jako żołnierz II Armii Wojska Polskiego), Bolesława Królikiewicza, syna kolejarza z ulicy Nadrzecznej, Mieczysława Piotrowskiego, nazywanego „puzonem”, ponieważ grywał na tym instrumencie w orkiestrze kolejowej, Stanisława Doszla z Buczacza (zginął – prawdopodobnie z rąk bandytów z UPA), Stanisława Kociumbasa, wesółka klasowego z ul. Białocزتkowskiej, Sławomira Kocana z Górnej Wygnanki, głównego solistę serenad, Jerzego Anioła, syna oficera KOP-u, Tadeusza Hankiewicza, syna policjanta (wywiezionego z rodziną na Syberię), Kazimierza Partykę, Tadeusza Milucha, Adama Majora. Na szczególną pamięć i uznanie zasługuje wspaniały kolega, wójt klasowy Edward Popiel z Suchodolu koło Kopyczyniec, jeden z „Powstańców Czortkowskich” w styczniu 1940 r. Wielu młodych uczestników „Powstania Czortkowskiego” sądzonych w Czortkowie, Tarnopolu i Odessie otrzymało później wyroki śmierci.

Wśród plejady koleżanek i kolegów, w tym również Rusinów i Żydów pamiętam Elżbietę Łazarczuk, Jadwigę Majkowską, Alicję Mazurkiewicz, Eugenię Tracz, Włodzimierza Zaklińskiego, Annę Nachtównę oraz Rosenberga, Grunberga, Hersza Brennera, Leona Perla, Morgensterna i innych, których imiona zatarł w pamięci nieublagany czas.

Końcowy egzamin zdawaliśmy w dniu 12 czerwca 1939 roku. Był to ostatni egzamin w Szkole Handlowej w polskim Czortkowie.

Adam Wartalski Bolszowce

Na dawnym szlaku najazdów tatarskich, na wysokości 222 m.n.p.m. leży w widłach rzeki Gniłej Lipy i jej dopływu Narajówki, miasteczko Bolszowce, które za czasów drugiej Rzeczypospolitej należało do powiatu rohatyńskiego woj. stanisławowskiego. Wg spisu ludności 1931 r. miasteczko liczyło 3.696 mieszkańców. Od Rohatyna było oddalone o 32 km w kierunku południowo-wschodnim.

Nazwa Bolszowce pochodzi dopiero z wieku osiemnastego, a uprzednio miejscowość ta występowała pod nazwą Bolszowiec – po łacinie villa Bolschowice – i wywodzi się prawdopodobnie od określenia wielkości majątku „magna Bolzow”.

Pierwsza wzmianka źródłowa o tej miejscowości pojawia się w aktach halickich grodzkich w roku 1401, w którym podano, że właścicielem Bolszowiec jest Mikołaj Spicznik lub Spysznik, sędzia halicki.

Jan Spysznik był żonaty z Anną z Dawidowa, córką sędziego lwowskiego. Z akt o zabezpieczeniu posagu swojej żony dowiadujemy się, że był właścicielem stawów i prócz tego dzierżawił jeszcze stawy królewskie pod Błaszowcami. Jan i Anna Spysznikowie zmarli bezdzietnie (w 1490 i 1492 r.), a Bolszowce po nich odziedziczył ich siostrzeniec Andrzej Wapowski herbu Nieczuja z Wapowic koło Przemyśla. W rok później nowy właściciel sprzedał Bolszowce swojemu wujowi Henrykowi Barzi, herbu Korczak.

Synowie Henryka Barzi, Fryderyk i Andrzej zostali zapisani w aktach halickich grodzkich jako panowie „de Bolschowice”. Jak długo ta wieś pozostawała w rękach Barzich nie wiadomo. Ostatnia wzmianka w aktach, w których wymieniani są jako właściciele Bolszowic zapisana jest pod rokiem 1497. Ród Barzich wymarł w 1617 roku.

Po tym czasie Bolszowce i wzniesiony tam zamek należały już do rodziny Kazanowskich, wywodzących się z ziemi sandomierskiej. Za czasów Marcina Kazanowskiego, z początkiem siedemnastego wieku były już prywatnym miasteczkiem.

Wiosną 1620 roku ziemię rohatyńską najechały zagony tatarskie. Ówczesny właściciel Bolszowiec, starosta halicki Marcin Kazanowski – późniejszy wojewoda podolski i hetman polny koronny – miał się przeprowadzić przez Dniestr pod Haliczem i rozgromić Tatarów.

O tym wydarzeniu pisze ksiądz Ignacy Chodyniecki w książce pt. „Wiadomość historyczna o Fundacjach klasztorów zakonu karmelitańskiego niegdyś w Polsce i Litwie, a później pod panowaniem Austrii, Rosyi i Prus zostających.” Wyd. we Lwowie w 1846 r. Po zwycięskiej walce, jak pisze ks. Ignacy Chodyniecki, znaleziony w nurtach Dniestru obraz Matki Bożej Kazanowski umieścił w zamkowej kaplicy. W podzięk za zwycięstwo wybudował w Bolszowcach w roku 1624 kościół pod wezwaniem Zwiastowania NMP oraz klasztor, który oddał OO Karmelitom.

W ufundowanym kościele umieścił wyłowiony z Dniestru obraz Matki Bożej. Wersja przedstawiona przez ks. Cho-

dynieckiego jest kompilacją legendy z autentycznymi faktami historycznymi. Kazanowski bowiem brał udział w bitwie pod Cecorą, dostał się do niewoli tatarskiej, z której zdołał się rychło wykupić. W następnym roku brał udział w bitwie pod Chocimiem. W podzięk za wyzwolenie z niewoli i szczęśliwy powrót z obu wypraw M. Kazanowski ufundował kościół i klasztor w Bolszowcach. 20 III 1624 r. kościół ten został konsekrowany.



Widok kościoła OO. Karmelitów w Bolszowcu w ziemi Halickiej

W okresie „potopu szwedzkiego” i wojen tureckich w latach 1648-1676 na skutek częstych napadów nieprzyjacielskich miasteczko i klasztor bolszowicki znacznie ucierpiały. OO Karmelici byli zmuszeni do chronienia się w odległych bezpiecznych miejscach.

Najazdy te zmusiły ojców karmelitów do odwiezienia obrazu do Lwowa, gdzie przebywał przez 47 lat (1671-1718) przechowywali go u siebie karmelici lwowscy w kościele św. Michała. W tymże czasie drewniany kościół w Bolszowcach niszczone działaniami wojennymi i zębem czasu chylił się ku upadkowi.

Wnuczka Kazanowskiego wyszła za mąż za hetmana Stanisława Jabłonowskiego i Bolszowce dostały się w ręce rodziny Jabłonowskich, którzy byli właścicielami miasteczka do roku 1799, to jest do śmierci Antoniego Barnaby ks. Jabłonowskiego, kasztelana krakowskiego.

Spalony kościół drewniany w czasie wojen kozackich został prowizorycznie odbudowany kosztem Jabłonowskich. Murowany barokowy kościół w Bolszowcach zbudowany został w latach 1777-1726.

Prowadzona od roku 1670 kronika klasztorna przez OO Karmelitów w Bolszowcach zanotowała liczne cuda za wstawiennictwem Matki Bożej, na skutek których po ich udoku-

mentowaniu, papież Klemens XIII dekretem z 12 maja 1769 postanowił ukoronować umieszczony tam cudowny obraz. 15 VIII 1777 obraz Matki Bożej Bolszowickiej został ukoronowany, a sama uroczystość odbyła się przy udziale tłumy wiernych – przybyłych z okolicznych wsi i miasteczek, wojska i duchowieństwa, uświetniona muzyką, salwami z dział oraz sztucznymi ogniami.

W roku 1853 obraz Matki Bożej z Dzieciątkiem Jezus został okradziony ze złotych koron, które po dwumiesięcznych poszukiwaniach odnaleziono. Od czasu koronacji corocznie na święto Matki Bożej Szkaplerznej, przypadające na dzień 16 lipca, gromadziły się przed cudownym obrazem w Bolszowcach rzesze wiernych, co odnotowały zapiski klasztorne aż do 1939 r.

W czasie pierwszej wojny światowej, podczas odwrotu wojsk austriackich w 1914 r. ówczesny przeor, ojciec Walerian Wierzbicki – zachęcony przez wycofujących się Austriaków wywiózł obraz przez Węgry do Wiednia.

Do kościoła obraz wrócił w lipcu 1915 r., kiedy ofensywa austriacka wyparła czasowo Rosjan z Galicji Wschodniej. Obraz przywiózł do Bolszowic nowy przeor, ojciec Teodor Bajorek. Niestety, nie na długo. We wrześniu 1916 r. nastąpiła kontrofensywa rosyjska, w ramach której na linii rzeki Narajówki toczyła się kilkudniowa wielka bitwa, podczas której wzgórze kościelne przechodziło z rąk do rąk. Kościół i klasztor zostały bardzo zniszczone, jak również i samo miasteczko.

OO Karmelici wywieźli obraz do Lwowa, gdzie był przechowywany w tamtejszym klasztorze karmelickim. Właściwą odbudowę kościoła podjęto dopiero po zakończeniu wojny z bolszewikami w 1920 r. Odbudowa kościoła ciągnęła się szereg lat i w zasadzie zakończona została w 1930 r., kiedy do Bolszowic powrócił, po gruntownej renowacji, cudowny obraz. Kościół i klasztor wraz z cudownym obrazem w spokoju dotrwały do wybuchu drugiej wojny światowej w 1939 r.

W latach ponurej okupacji sowieckiej i niemieckiej obraz przetrwał szczęśliwie do 1944 r., a ponieważ okolice Bolszowic ominęły szczęśliwie wielkie walki doznał kościół i klasztor mniej szkód, aniżeli w czasie pierwszej wojny światowej.

W zimie 1943/44 w okolicach Bolszowic miały miejsce masowe mordy Polaków przez UPA (między innymi zamordowany został o. Czosnek – karmelita, pomocnik przeora klasztoru bolszewickiego (o. Zajęca). W obliczu bezpośredniego zagrożenia polska ludność w Bolszowcach schroniła się w pierwszych dniach marca 1944 r. za murami klasztoru. Stacjonujący nieopodal wojskowy oddział węgierski zorganizował wywiezienie samochodami zebranych w klasztorze Polaków do Stanisławowa, gdzie panowało względne bezpieczeństwo.

Cudowny obraz w tym krytycznym roku został wywieziony ponownie do Lwowa, a w r. 1945 przewieziono go do OO Karmelitów w Krakowie „Na Piasku”. W roku 1966 został poddany fachowej ocenie historyków sztuki. Oględziny i badania wykazały, że jest on wzorowany na obrazie Łukasza Cranacha Starszego (1472-1553) „Madonna z

dzieckiem pod jabłonią” znajdującym się obecnie w zbiorach w Petersburgu.

Kto był twórcą obrazu Matki Boskiej Bolszowickiej nie udało się stwierdzić. Obraz po wielu peregrynacjach ostatecznie został w kościele OO Karmelitów w Gdańsku.

Do roku 1799 Bolszowce należały do rodziny Jabłonowskich. Przed rokiem 1830 Walerian Krzeczunowicz nabył Bolszowce od spadkobierców po Józefie Małeckim. Klucz bolszowicki pozostał w rękach tej rodziny do 1939 roku.

Krzeczunowiczowie wywodzili się z Ormian. Z biegiem czasu spolonizowali się i byli gorącymi patriotami polskimi. Klucz Bolszowicki – stanowił w 1900 r. dużą majątność, która obejmowała kilka wsi i folwarków liczących w sumie 4.000 hektarów. Główną siedzibą Krzeczunowiczów był dwór na skraju miasteczka, na krawędzi łagodnego stoku, zbudowany na fundamentach dawnego zamku, który w czasach Jabłonowskich, nie zamieszkujących go, popadł w ruinę. Jako pozostałość po nim zachowała się jedynie baszta z połowy XVII wieku.

Dzisiaj niegdyś piękny barokowy bolszowicki kościół jest mocno zdewastowany. Opisał go Z. Hauser w swoim artykule pt. „Sanktuarium w gruzach” („Zabytki” 9 IX 1994 str. 17) „Wnętrze świątyni przedstawia obraz totalnego opuszczenia, całe wyposażenie wnętrza zniszczone, z dawnego ołtarza głównego pozostało pięć par ustawionych ukośnie kolumn marmurowych i dwie pary pilastrów. Widać niktne fragmenty pięknych niegdyś fresków: na południowej ścianie czarny orzeł w koronie z herbem (Pila-wa?) i święty rycerz w szyszaku (św. Marcin?), pod chórem muzycznym inni święci. W pierwszej prawej kaplicy ocalały cztery z sześciu malowanych medalionów z wyobrażeniem członków rodu Jabłonowskich. Wewnętrzne ściany pokrywają ordynarne gryzmoły, na zasłanej gruzem i odchodami ptasimi posadzce gnije padlina. Ale sklepienie jeszcze się trzyma. Gdyby więc teraz nadszedł ratunek, może nie byłby spóźniony.”

Po przymusowej expatriacji Bolszowiczów do Polski kościół zamieniono na skład butelek, a potem nawozów sztucznych, które dopełniły dewastacji kościoła. Świątynia została formalnie zwrócona mieszkającym jeszcze w Bolszowcach wiernym rzymsko-katolickim. Nie ma stałego księdza – dojeżdża tylko ks. Anatol Zajączkowski (rodem z Sambora), który jest duszpasterzem w Rohatynie, Bukaczowcach, Bursztynie i Firlejowie.

Na odbudowę kościoła potrzebne są znaczne pieniądze, a tych nie ma. Zniszczenia są tak duże, że remontu nie można wykonać systemem gospodarczym. Interwencje w tej sprawie ks. Anatola Zajączkowskiego w Polsce nie dały rezultatu – po prostu nie został przyjęty. Należy przypuszczać, że nowe pokolenie OO. Karmelitów nie jest już uczuciowo związane z klasztorem.

W odrapanych murach dawnego klasztoru ulokowano stację „Sanepidu”, natomiast dziedziniec pokrywa dziś zwarta ściana chaszczy.

Zachowany dwór Krzeczunowiczów mieści obecnie szpital.

Danuta Śliwińska

Jeszcze echa wakacji

Oddział Bydgosko-Toruński i KPW w Bydgoszczy zaprosił polskie dzieci z parafii rzymsko-katolickiej w Rohatynie na młodzieżowy obóz strażacki w Wąsocz (województwo bydgoskie). Pochodziły głównie z Rohatyna, ale były i z Bursztyna i z Nadwórnej. Dla prawie wszystkich było to pierwsze spotkanie z Polską i polską kulturą. Przyjechały z opiekunami, na czele z panią Marią Chrapko – Przewodniczącą Towarzystwa Kultury Polskiej w Rohatynie, naczelną pielęgniarką tamtejszego szpitala. Dzięki uprzejmości dyrektora ZOZ-u w Szubinie wszystkie dzieci zostały przebadane w miejscowym szpitalu.

I pod strażackimi namiotami można stworzyć dobre warunki, ciekawe, wszechstronne zajęcia połączone z nauką i zabawą, dające wymierne korzyści dla uczestników.

W ciągu dwóch tygodni lipca dzieci brały udział w młodzieżowych rozgrywkach sportowych, poznały tajniki pożarnictwa, uczyły się i doskonaliły naukę języka polskiego, a również miały czas na zabawę, codzienne śpiewanie piosenek przy wieczornych ogniskach i dyskotecie.

Warto tu odnotować, że poranną gimnastykę dla całego obozu w sposób urozmaicony prowadziły obie opiekunki dzieci z Rohatyna – p. Maria Chrapko i p. Antonina Bilous.

Obóz odwiedzali liczni goście, m.in. burmistrz miasta Szubina, radni, proboszczowie parafii szubińskich, nauczyciele i młodzież ze szkół, Zarząd Oddziału Bydgosko-Toruńskiego TMLiKPW.

Codzienną opieką otaczane były przez kolegów z TMLiKPW mieszkających w Szubinie, zwłaszcza bardzo dużo wysiłku i serca w organizację, szukanie sponsorów i troskliwą opiekę włożył p. Stanisław Jackiewicz. Drugi z panów, Jerzy Azjan, muzyk z zawodu umiał młodzieży pobyt na obozie wspaniałą grą na akordeonie.

Na zakończenie obozu wszystkie dzieci otrzymały dyplomy ukończenia obozu szkoleniowego i nagrody.

Do granicy odwiezione i przywiezione autokarem, natomiast z granicy do Rohatyna przejazd załatwił ks. Anatol Zajączkowski, proboszcz parafii w Rohatynie.

Specjalnie dla dzieci z za wschodniej granicy zorganizowano wycieczki do Gniezna, Biskupina, Gdańska. Zwiedziły również sanktuarium w Licheniu i zamek w Łańcutie.

Obóz prowadzony był wzorowo pod każdym względem. Wielką w tym zasługą Komendanta Obozu p. inż. Tadeusza Milewskiego, na co dzień Komendanta Rejonowego Państwowej Straży Pożarnej w Szubinie, którego korzenie rodzinne związane są z ziemią łwowską.

Transport dzieci, pobyt na obozie, wycieczki były możliwe dzięki licznym sponsorom, którzy poza pieniędzmi przekazali na potrzeby obozu środki czystości, owoce, słodczyce, odzież itd. Prezenty dla młodzieży z Rohatyna przynieśli również księża i osoby prywatne.

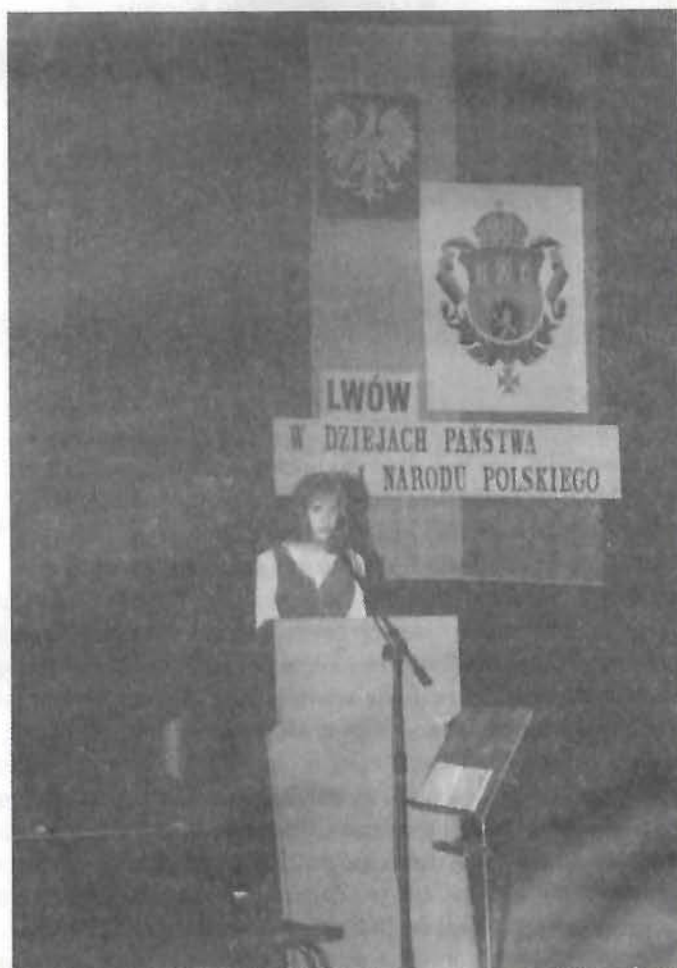
Do Rohatyna zawieziono autokarem 47 kartonów z żywnością, środkami czystości, polskimi książkami, nieużywaną odzieżą i innymi, na potrzeby tamtejszej parafii rzymsko-katolickiej.

Dzieci wyjechały bardzo zadowolone, z ogromem wrażeń, rozstania trwały długo, wylano przy nich morze łez, nawiązały się nowe trwałe przyjaźnie, wymienili adresy z rówieśnikami z Polski.

Jeżeli nie zawiodą sponsorzy – młodzież z Rohatyna przyjedzie do Wąsocz i w przyszłym roku.

W Elku już tradycyjnie organizowane są sesje popularnonaukowe na tematy Kresów Wschodnich. W bieżącym roku tematem sesji był: **LWÓW W DZIEJACH PAŃSTWA I NARODU POLSKIEGO**.

Godny podkreślenia jest fakt, że referaty na sesję przygotowała młodzież z Koła Przyjaciół Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w Liceum Ogólnokształcącym im. Stefana Żeromskiego w Elku, a całość zorganizował tamtejszy Oddział Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna, z prezesem Haliną Orzechowską na czele.



Sesja miała miejsce w wypełnionej po brzegi sali Miejskiego Domu Kultury w Elku. Tłumnie przybyła młodzież szkolna.

Sesja składała się z dwóch części: referatowej i artystycznej. Słowo wstępne wygłosił pan Janusz Borowy, nauczyciel historii z powyższego liceum, a następnie wygłoszone były referaty tematyczne. Przedstawiły je kolejno:

– Edyta Jackiewicz, uczennica klasy IIa – „**LWÓW W DZIEJACH PAŃSTWA I NARODU POLSKIEGO**”

– Monika Dawidej, uczennica klasy Ib – „LWÓW MIASTO WIELU KULTUR”

– Anna Kryszczuk, uczennica Ib – „OBRONA LWOWA W LISTOPADZIE 1918, DZIEŁO NARODOWE ORLĄT LWOWSKICH”

– Aleksandra Błażejewska, uczennica klasy Ib – „POLSKA NEKROPOLIA NARODOWA NA LYCZAKOWIE”

W II-jej części młodzież licealna przygotowana przez nauczycieli – panię Marię Nienaltowską i Agnieszkę Boguszewską i pana Janusza Borowego wystąpiła z piękną inscenizacją słowno-muzyczną, w której znalazły się poezja Mieczysława Opalka, piosenki Mariana Hemara i Ref-Rena (Konarskiego) i innych. Młodzież z wdziękiem prezentowała anegdoty i scenki rodzajowe w balaku lwowskim.

Aż żal, że to wszystko było przygotowane tylko na ten jeden występ. A może z okazji święta, rocznicy związanej z Kresami – któryś z Oddziałów lub Klubów TMLiKPW zaprosiłby tę młodzież do siebie?

W kilku miastach w Polsce istnieją zespoły słowno-muzyczne dziecięce i młodzieżowe mające w swoim repertuarze programy, związane z Kresami Wschodnimi, natomiast przygotowanie poważnych, rzetelnych referatów jest czymś wyjąt-

kowym. Młodzież przez okres 1/2 roku zbierała materiały. Szukała w bibliotekach, jeżdżąc m.in. do Warszawy, a efekt był znakomity. Referaty były bardzo interesujące. Całością kierował nieustrudzony w pracy dla tamtych ziem wspomniany już wyżej pan Janusz Borowy. Sam nie pochodzi z Kresów ani nie ma tam swoich korzeni a potrafił zaszcześcić w młodzieży miłość do tych ziem i spowodował założenie Koła Przyjaciół Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej w Liceum. Corocznie poza sesjami organizuje młodzieżowe wycieczki na Kresy.

Wielkie słowa podziękowania należą się również pozostałym Szanownym Nauczycielom historii w tymże Liceum.

Na zakończenie pani Halina Orzechowska podziękowała młodzieży i nauczycielom za przygotowanie sesji i wręczyła nagrody książkowe. W imieniu Zarządu Głównego TMLiKPW dokonałam krótkiej oceny zawartości merytorycznej referatów i programu artystycznego (o co mnie poproszono) i gorąco podziękowałam głównym organizatorom sesji Pani Halinie Orzechowskiej i panu Januszowi Borowemu, pozostałym nauczycielom oraz wspaniałej młodzieży z Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego za zaprezentowanie społeczności miasta Elku – w sposób interesujący i na poziomie, dorobku historycznego, naukowego i kulturalnego Lwowa.

Iwo Werschler

Wystawa „Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie. Czasy i ludzie” w Poznaniu

17 IX b.r. w pięćdziesiątą siódmą rocznicę zdradzieckiego wtargnięcia Armii Czerwonej na Ziemię Wschodnie Drugiej Rzeczypospolitej, w klasycystycznym budynku osiemnastowiecznego odwachu na Starym Rynku w Poznaniu, została otwarta wystawa „Lwów i Kresy Południowo-Wschodnie: Czasy i ludzie” *).

Rozpoczynającemu jej zwiedzanie mogą nasunąć się pytania: czy Poznań jest właściwym miejscem jej lokalizacji? Jakie cele przyświecały jej organizatorom? Jeśli idzie o pierwszą wątpliwość, należy dać odpowiedź zdecydowanie twierdzącą. Lwów i Poznań, dwa miasta położone na przeciwległych krańcach dawnej Rzeczypospolitej, wiele łączyło w przeszłości. Ograniczę się do paru przykładów.

W 1919 r., podczas wojny polsko-ukraińskiej o Lwów i Galicję Wschodnią, Wielkopolska słała do „zawsze wiernego” miasta pomoc żywnościową i militarną. Gdy w marcu tegoż roku rozstrzygał się los oblężonego Lwowa, naczelny dowódca armii wielkopolskiej, gen. Józef Dowbór-Muśnicki, skierował na odsiecz ochotniczą kompanię pod dowództwem porucznika J. Ciaciucha, a następnie całą Grupę Wielkopolską, którą dowodził płk Daniel Konarzewski. Nie ustalono ilu Poznańczyków poległo w walkach o Lwów. Na cmentarzu Orłąt mieli oni osobną kwaterę. A kiedy w 1929 r. rozpoczęto budowę Pomnika Chwały Lwowa w formie wielkiej, łukowej kolumnady złożonej z 12 słupków, drugą z kolumn ufundowało miasto Poznań.

W międzyczasie Lwów i trzy województwa południowo-wschodnie rewanżowały się Ziemi Wielkopolskiej wysyłając kadry nauczycieli, profesorów, inżynierów i innych fachowców, których ze względu na długotrwałą politykę germanizacyjną rządów pruskich tutaj brakowało.

Organizatorzy wystawy chcieli pokazać dzisiejszemu społeczeństwu Poznania, a być może i odwiedzającym to miasto gościom, okruciny obrazu dawnych Kresów Wschodnich. Szczególnie miano na uwadze młodzież, która obecnie nie zawsze niestety interesuje się przeszłością swojej ojczyzny. A przecież naród, który traci znajomość swej historii ginie!

Dla nas zaś, którzy urodziliśmy się na pięknej ziemi kresowej, jakże wielkim przeżyciem jest nawet ta krótka wędrówka przez dwie sale muzealne, w których zgromadzono rozmaite eksponaty. Są one bowiem jak gdyby ułamkami zatrzymanego czasu, bezpowrotnie minionej, drogiej sercu przeszłości. W każdym z tych eksponatów ukryta jest cząstka miłości do ziemi rodzinnej, kraju przodków. To właśnie ta miłość kazała zabrać ze sobą w strasznej chwili opuszczenia gniazd rodzinnych i pieczołowicie przechowywać przez te wszystkie lata z pozoru może nieważne pamiątki.

Przyjrzyjmy się zatem przynajmniej niektórym z nich bliżej, nie miejsce tu bowiem na ich szczegółowe wyliczanie.

Nad wejściem do pierwszego pomieszczenia wystawowego umieszczono kopię obrazu Matki Bożej Łaskawej, przed którym 1 kwietnia 1656 roku król Jan Kazimierz ślubował

bronić wiary katolickiej i praw ludu (oryginał obrazu znajduje się obecnie w prokatedrze w Lubaczowie).

Po prawej stronie od wejścia wyeksponowano serię szkiców Napoleona Ordy, dziewiętnastowiecznego malarza, który szczególnie upodobał sobie zamki i ruiny. Widzimy tu więc widoki zamków w Jazłowie, Buczaczu, Haliczu, Trembowli i Skale nad Zbruczem. Jest też zamek w Olesku, miejscem urodzenia króla Jana III Sobieskiego, jest rezydencja Koniecpolskich w Podhorcach, a także pejzaż miasta Żółkwi. Trochę dalej oglądamy serię ośmiu rysunków poznańskiego artysty, profesora Franciszka Burkiewicza, wykonanych w Brzeżanach, Podhajcach i Szumianach.

Rysunki te mają ciekawą historię. Powstały w lecie 1939 roku, kiedy F. Burkiewicz, wówczas młody absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, wraz z kilkoma kolegami został wysłany z inicjatywy marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego na Podole. Zadaniem młodych artystów było wykonanie dokumentalnych rysunków, a na ich podstawie drzeworytów, mających służyć na tękę graficzną „Podole”. Wybuch wojny i katastrofa państwa polskiego uniemożliwiły realizację pomysłu, a wiele obiektów uwiecznionych przez grafików na papierze dziś już nie istnieje. Z tym większym zainteresowaniem oglądamy starą katownię czy nagrobek żydowski z Podhajec.

W innym miejscu wystawy zgromadzono materiały archiwalne, spuściznę po uczonych rodem z Kresów, którzy pracowali w uczelniach poznańskich. Warto bowiem przypomnieć, iż kiedy w 1919 r. otwarto w Poznaniu uniwersytet, szereg katedr obsadzono uczonymi z Lwowa. Historia powtórzyła się w 1945 roku. Wśród wybitnych naukowców poznańskich, rodem z Kresów, znaleźli się zatem m.in. profesorowie: historycy – Adam Skalkowski, Zygmunt Wojciechowski, Józef Widajewicz i Bronisław Dembiński; pedagog – Ludwik Jaxa Bykowski, a także geografowie – Stanisław Pawłowski i August Zierhoffer. Ten ostatni rodem z Wiśniowczyka koło Podhajec...

Są na poznańskiej wystawie pamiątki z walk o Lwów w latach 1918-1919. Jest Krzyż Obrony Lwowa z mieczami, odznaka „Orleń” i inne odznaczenia. Są publikacje, m.in. książka dowódcy obrony Lwowa w listopadzie 1918 roku majora Czesława Mączyńskiego, *Boje lwowskie*, a także są afisze i gazety z tamtych dni.

Większość eksponatów stanowią wszakże rozmaite pamiątki rodzinne. Można zatem oglądać liczne fotografie, często jeszcze dziewiętnastowieczne, przedstawiające rodziców, dziadków i ich rodzeństwo. Są fotografie dzieci, zdjęcia pierwszokomunijne i ślubne. Wiele też przedstawia uczniów, członków kół i organizacji, jak na przykład „Sokoła”. Ciekawym uzupełnieniem tych pamiątek ikonograficznych są dokumenty: metryki urodzenia, chrztu, świadectwa szkolne (także z okresu okupacji sowieckiej i niemieckiej podczas drugiej wojny światowej), indeksy, karty egzaminacyjne, świadectwa ślubu i nekrologi. Zobaczyć można wzruszające laurki imiennowe wykonane rączkami małych dzieci, a obok nich telegramy gratulacyjne wysłane z okazji wstąpienia w związek małżeński.

W dwóch gablotach znajdują się zabawki dziecięce przywiezione z Lwowa: są to lalki i mebelki do ich pokoiku oraz

pięknie jeszcze się prezentująca i podobno dotąd sprawna – kolejka elektryczna.

Zainteresowanie zwiedzających budzi zestaw pięknych fotogramów autorstwa Marii i Stanisława Weresów. Tematem tych artystycznych zdjęć jest Lwów: jego ulice, architektura i ludzie. W kącie, na postumencie, stoi stary, kliszowy aparat, którym posługiwali się niegdyś artyści-fotograficy.

Jednak nie tylko Lwów jest prezentowany na zdjęciach znajdujących się na wystawie. Można też oglądać ciekawe widoki miejscowości podkarpackich, w których niegdyś tak chętnie spędzano letnie wakacje. Miejsca te upamiętniają stare, wykonane jeszcze w XIX wieku fotosy, na których zobaczyć można także sceny z budowy linii kolejowej Stanisławów – Woronienka usianej wspaniałymi mostami nad Prutem i jego dopływami.

Z tymi widokami korespondują obrazy olejne, których tematem są pejzaże Kosmacza i okolic. Autorem ich, oraz pięknej panoramy Lwowa, był artysta-amator, nieodżałowany pierwszy prezes poznańskiego Oddziału TMLiKPW, profesor matematyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Andrzej Alexiewicz. We wspomnieniu opublikowanym po śmierci Profesora w 1995 r. napisano, iż „malował z potrzeby serca”. Na wystawie znajduje się tylko ułamek bogatej twórczości artystycznej Profesora Alexiewicza gorąco kochającego Lwów i Kresy, o czym świadczy także ten fakt, iż odwiedził je jeszcze na kilka tygodni przed swoją śmiercią.

Kiedy mowa o artystach i malarstwie warto zerócić uwagę na kolekcję akwael Tadeusza Pobóg-Rossowskiego. Tematyka ich związana jest z obroną Lwowa, ale charakter odzwierciedla typowy dla lwowian humor i umiejętność satyrycznego widzenia spraw i ludzi nawet w dramatycznych momentach.

Dużo, biorąc pod uwagę skromne raczej rozmiary całej wystawy, poświęcono miejsca widokówkom z różnych okolic Ziemi Czerwieńskiej. Można więc zobaczyć nie tylko zabytki i pomniki Lwowa, ale także architekturę miast i miasteczek, jak Stanisławów, Tarnopol, Drohobycz, Sambor, Kołomyja, Zaleszczyki, Jaremcze i wiele innych.

Ciekawostką wśród eksponatów są kartki żywnościowe wydawane przez władze austriackie we Lwowie podczas pogarszającej się sytuacji aprowizacyjnej w ostatnich latach i miesiącach pierwszej wojny światowej.

Inną atrakcją są fragmenty kolekcji filatelistycznej profesora Władysława Alexiewicza; można tu zobaczyć ciekawe znaczki oraz datowniki, także i okolicznościowe.

W gablotach z wydawnictwami na uwagę zasługują: „Lwów dawny i dzisiejszy”, „Lwów” – z cyklu „Cuda Polski” wydawanego przez poznańską oficynę przy Księgarni Św. Wojciecha, a także broszury: „Kościół Matki Boskiej Ostrobramskiej” – z okazji poświęcenia świątyni wybudowanej z inicjatywy i kosztem ks. arcybiskupa Bolesława Twardowskiego jako wotum za wyzwolenie Lwowa w 1918 i 1920 roku oraz „Wiosna we Lwowie” – program i przewodnik wydany z okazji imprez urządzanych w maju 1939 roku...

Ekspozycję zamyka dość przypadkowy zestaw wyrobów huculskich. Są tu elementy stroju kobiecego, wyroby z drewna i metalu, jeden produkt tkacki. Szkoda, że tak niewiele można było pokazać. „Wszystko bowiem, co wytwarza sztuka huculska – pisał niegdyś słynny podróżnik Ferdynand Antoni Ossens-

dowski – jest niezmiernie estetyczne, głęboko przemyślane i co najcenniejsze – posiada styl swoisty”.

Wychodząc z wystawy, która przecież mimo skromnych rozmiarów zawiera więcej ciekawych eksponatów i porusza inne jeszcze tematy, mamy poczucie przeżycia czegoś ważnego. Takie są też wrażenia nielicznych dotąd grup młodzieży, które odwiedziły ekspozycję w poznańskim Odwachu. Wystawa trwać będzie tylko do końca października. Warto chyba pomyśleć o zorganizowaniu następnej, może już w przyszłym roku, większej i bogatszej. Okazuje się bowiem, że kresowiaci mają jeszcze w swoich domach wiele prawdziwych „skarbów”, które powinny koniecznie ujrzeć światło dzienne, aby wzbogacić wiedzę – głównie naszych młodych następców – o dorobku mieszkańców ziemi, która tak ważne zajmuje miejsce w dziejach Polski. Myśl tę de-

dykują także mieszkańcom innych miejscowości w naszym kraju, którzy pokusić się mogą i powinni o zorganizowanie podobnej, może lepszej, wystawy.

*) Wystawę zorganizowało Wielkopolskie Muzeum Historyczne przy współpracy z poznańskim Oddziałem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z okazji obchodzonych w tym roku w Poznaniu „Dni Lwowa”.

Na wernisaż przybyli m.in. ks. kapelan Janusz Popławski, red. „Semper Fidelis” Danuta Nespiak, dyr. Wydz. Kultury i Sztuki UM w Poznaniu Hanna Rubas, przedstawiciel UW Jerzy Cwaliński oraz prezes Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej Mieczysław Rutkowski. W imieniu organizatorów licznych gości powitali dyr. Muzeum Maria Stojnowska-Szczepaniakowa oraz prezes poznańskiego Oddz. TMLu Tomasz Naganowski.

Tadeusz Kukiz Stulecie wielkiego epika

W sierpniu br. w prasie polskiej ukazały się okolicznościowe artykuły z okazji setnej rocznicy urodzin poety i pisarza, Józefa Wittlina. Myślę, że także w „Semper Fidelis” warto tę rocznicę odnotować, jako że ten znakomity twórca – jak tylu innych – pochodził z Kresów.

Urodził się 17 sierpnia 1896 r. w Dmytrowie koło Radziechowa w województwie tarnopolskim, w rodzinie żydowskiej, która od pokoleń tam żyła i pracowała. Pradziad pisarza gospodarował w pobliskim Pawłowie, „Czy na spółkę z Kornelem Ujejskim, czy odkupiwszy od niego majątek, tego już dziś jego prawnuk nie pamięta” – pisała w swych wspomnieniach Zofia Starowieyska-Morstinowa. „W każdym razie wie z sagi rodzinnej, że ów pradziad był bardzo bogaty i mądry (...).” Ojciec ziemi już nie miał, był w Dmytrowie dzierżawcą majątku. Kiedy Józef Wittlin miał dziesięć lat, rodzice – z powo-

du choroby matki – przenieśli się do Lwowa, gdzie chodził do szkoły. Wiele czasu spędzał nadal na wsi – u dziadków i stryjów; jeździł do nich w okolice Brodów, Radziechowa i Tarnopola. Nie wiemy dokładnie, gdzie przebywał, kiedy się tam udawał. W Radziechowskim były zapewne wsie: Uwin, Nowiny i Wygoda, bowiem do 1939 r. tamtejsze majątki należały do Wittlinów.

Być może częste pobyty Wittlina na wsi spowodowały, że wieś ukazana w jego twórczości („Sól ziemi”) należy do najpiękniejszych w polskiej literaturze. Lata spędzone we Lwowie zaowocowały natomiast wzruszającą książką – napisaną już po drugiej wojnie światowej, na emigracji – noszącą tytuł „Mój Lwów”. Z utworów poetyckich najbardziej znane są „Hymny” powstałe we wczesnym okresie twórczości. Był też Wittlin uznanym tłumaczem; jego tłumaczenia „Odysei”, udoskonalane przez całe życie, zaliczane jest do najlepszych. Zmarł w Nowym Jorku w 1976 r.

Twórczość Józefa Wittlina nie była bogata, ale wszystko co napisał było znakomite. Nic więc dziwnego, że był poważnym kandydatem do Literackiej Nagrody Nobla (w 1938 r.).

Prof. dr Jakub Parnas 16 I 1884 – 29 I 1949

Od 9 do 11 września br. odbyła się we Lwowie polsko-ukraińska konferencja naukowa poświęcona pamięci prof. dr. Jakuba Parnasa. Zorganizowana przez Polską Akademię Nauk, Polskie Towarzystwo Biochemiczne oraz przez Narodową Akademię Nauk Ukrainy zgromadziła ok. 200 osób, w tym prawie połowa przybyła na konferencję z Polski. Z Polski też została przywieziona i wmurowana dwujęzyczna tablica w gmachu we Lwowie przy ul. Piekarskiej, gdzie od 1921 do 1941 r. Wielki Uczony prowadził badania nad przemianami wysokoenergetycznych związków fosforowych w organizmie człowieka i zwierząt, nad mechanizmami przemian glikogenu i glukozy w mięśniach i gdzie jako pierwszy w świecie zastosował izotopy w badaniach biochemicznych (1937). W swych bardzo licznych publikacjach podał swoje oryginalne metody badania pracy mięśni, badania krwi, opisał znaczenie kwasów tłuszczowych w niedokrwistości złośliwej, tworzenie się amoniaku we

krwi i mięśniach. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza – wielkim ośrodku wiedzy, gdzie powstały znane w świecie szkoły filozofii, matematyki, orientalistyki stworzył prof. Parnas szkołę polskiej biochemii, z której wyszli znakomici uczeni. Jego nazwisko weszło na zawsze do podręczników biochemii. Był członkiem honorowym wielu towarzystw naukowych i doktorem honoris causa uniwersytetów w Paryżu i Atenach. W czasie wojny, przed wejściem Niemców do Lwowa został ewakuowany do Ufy, a następnie do Moskwy. Na podstawie oszczerczych zarzutów został aresztowany i w tym samym dniu, 29 I 1949 r., w więzieniu na Lubiance zginął. Gdyby żył, zostałby niewątpliwie laureatem Nagrody Nobla. Tę wielką postać nauki polskiej Polskie Towarzystwo Biochemiczne uhonorowało stwarzając doroczną nagrodę Jego imienia za najlepszą pracę doświadczalną z biochemii.

Z.O.

Tomasz Cedro

Glosa do prasy okupacyjnej

W kwartalniku „Semper Fidelis” (nr 4 z 1996) ukazał się artykuł autorstwa E. Dmytrowa: „Okupacyjna i gadzinowa prasa w Kołomyi”.

Z uwagi na pewne nieścisłości pragnę wnieść kilka sprostowań i uwag. Istotnie, zapewne w roku 1941 dotarł do Kołomyi „Ilustrowany Kurier Polski” (był to jednak tygodnik, nie dziennik – w tym przypadku – „Nowy Kurier Warszawski”). Faktycznie też, iż w numerze 44 „IKP” z dnia 2 XI 1941 zamieszczono wcale zresztą udane karykatury z odpowiednimi tekstami nawiązującymi do I-ej okupacji Lwowa. Znajdował się tam również rysunek i tekst, który niezbyt dokładnie zacytował p. E. Dmytrów. W oryginale brzmiał on następująco:

Nasz „towarzysz” jest zdziwiony...

Kręci kurkiem na wsze strony...

Jakże świetnie do cygara

Służy kurek od hegara!

Gwoli wyjaśnieniu: „Ilustrowany Kurier Polski” jak i „Nowy Kurier Warszawski” wydawane były przez niemiecki koncern prasowy „Zeitungsverlag Krakau-Warschau GmbH” z siedzibą w Krakowie przy ul. Wielopole 1. Koncern powołany został dekretem Hansa Franka z dnia 15 XII 1939 i posiadał liczne filie, m.in. w Warszawie, Lwowie, Lublinie, Częstochowie, Radomiu. Kierownikiem był Hans Strożyk.

Osobiście nie wydaje mi się możliwym, aby do Kołomyi, bądź co bądź peryferyjnego miasta na tzw. „głębokim” Pokuciu, docierał akurat dziennik (sic!) „Nowy Kurier Warszawski”. A jeżeli nawet rzeczywiście tak było, to zapewne wyłącznie w prenumeracie indywidualnej (uwzględniając przy tym naturalne w owych warunkach czasu wojny opóźnienia), nigdy zaś w kolportażu masowym. „Nowego Kuriera Warszawskiego” – przy rzeczywiście imponującym, jak na owe czasy nakładzie – 200 000 egz. – praktycznie ograniczał się do rejonu Warszawy i w pewnym stopniu do niektórych rejonów tzw. dystryktu warszawskiego.

Natomiast „Ilustrowany Kurier Polski”, wydawany od 25 II 1940 w Krakowie początkowo jako dwutygodnik, a następnie jako tygodnik, o nakładzie ponad 50.000 egz. miał charakter pisma niejako uniwersalnego i z pewnością rozprowadzany był na terenie wszystkich 5 dystryktów GG, a w tym i miasta Kołomyi.

Z kolei jeśli chodzi o „Gazetę Lwowską”, to w żadnym wypadku nie była ona mutacją „Lemberger Zeitung” (nt. „Gazety Lwowskiej” wiele nieznanymi faktów przedstawił Grzegorz Hryciuk w interesującej monografii tegoż dziennika, a której drugie już i znacznie uzupełnione wydanie właśnie dotarło do rąk czytelników) Wzmiankowany zaś dziennik „Lemberger Zeitung” – wydawany we Lwowie od 1 VIII 1941 niewątpliwie był mutacją „stołecznego” dziennika „Krakauer Zeitung”, którego pierwszy numer ukazał się w Krakowie już 12 XI 1939. Mutacją „krakauerki” była też gazeta „Warschauer Zeitung” kolportowana w Warszawie oraz w dystrykcie warszawskim. Reasumując, na terenie GG w zasadzie wszystkie lokalne mutacje dziennika „Krakauer Zeitung” posiadały wia-

domości zbieżne z pismem krakowskim (pomijając rubryki tzw. „regionalne”), wszystkie zbliżone też były pod względem graficznym, kolorystycznym oraz formatu (czarno-biała wi-nieta, układ szpalt, podobny format i objętość, jedynie „Warschauer Zeitung” redagowany był w „gotyku”.

To tyle jeżeli chodzi o zagadnienia związane z wydawaniem przez okupanta niemieckiego prasy polskojęzycznej oraz niemieckojęzycznej na obszarze tzw. Generalnej Guberni, oczywiście w największym skrócie.

Trudno natomiast zgodzić się ze stwierdzeniem E. Dmytrowa, iż (cytuję): „II sowiecka okupacja (Kołomyi-T.C.) rozpoczęta na przełomie marca i kwietnia 1944 roku nie wniosła żadnych rewelacji (!-T.C.). I dalej: „Można jedynie odnotować, że prasa była pozbawiona akcentów antypolskich (podkreślenie-T.C.), co stało w jaskrawej sprzeczności z represyjną polityką władz sowieckich wobec polskiego społeczeństwa. Pod tym względem nic się nie zmieniło”.

Zapewne autor powyższych uwag wie, iż determinantem TAKIEGO właśnie postępowania sowieckiego okupanta w Kołomyi wobec ludności polskiej była wyłącznie ÓWCZESNA SYTUACJA POLITYCZNA na Pokuciu. Fakt iż w drugim czy trzecim kwartale 1944 Sowieci ograniczyli represje wobec ludności polskiej na tym obszarze wynikał jedynie z zagrożenia ze strony szalejących band UPA. Stąd też i zgoda bolszewików na tworzenie z ludności polskiej tzw. „istriebitielnych batalionów” (w Kołomyi dowódcą był kpt. Kirkin) przeznaczonych do walki z nacjonalistami ukraińskimi. Oczywiście w niczym nie zmienia to faktu, iż naczelną zasadą okupanta sowieckiego, zasadą obowiązującą na tych terenach była wyłącznie EKSTERMINACJA ludności polskiej, przesunięto jedynie termin...

Podobnie w żadnym wypadku nie można pisać (cytuję): „prasa była pozbawiona akcentów antypolskich” (!-T.C.). Czasami naprawdę zastanawiam się nad motywami, które skłaniają do formułowania i wyrażania podobnych opinii! „prasa była pozbawiona akcentów antypolskich”... A więc proszę bardzo, pierwsze lepsze pismo sowieckie z 1944 roku – typowy polskojęzyczny szmatławiec, „gadzinówka”, „Czerwony Sztandar” redagowany przez zdrajców i renegatów we Lwowie: Nr 89(626), z 16 XII 1944, str. 4:

„Przestępcza działalność polskich reakcjonistów

Lublin (TASS) Gazeta „Głos Ludu” opublikowała komunikat o bestialskiej zbrodni dokonanej przez bandę Armii Krajowej. W powiecie zamojskim, pisze gazeta, bandyci z Armii Krajowej podminowali szosę, po której jechała ciężarówka z plutonem milicji polskiej. Wskutek wybuchu 12 osób poniosło śmierć. Pogrzeb ofiar dywersji, pisze gazeta, był potężną manifestacją społeczeństwa przeciwko działalności polskiego rządu emigracyjnego, jako inspiratora dywersji i morderstw na wyzwolonym terytorium Polski”.

Na zakończenie pragnę podzielić się pewną, nieodłącznie nasuwającą się refleksją.

Czas, który nieustannie upływa, który oddala nas od tamtych tragicznych wydarzeń znakomicie, niestety, ułatwia MA-

NIPULOWANIE pewnymi faktami, sprzyja dezinformacji, zaciemnieniu i niejednokrotnie fałszowaniu niewygodnych zdarzeń, które miały miejsce na terenie naszych Kresów Wschodnich w czasie II wojny światowej, a także i po jej zakończeniu.

Istnieją osoby, które w chwili obecnej, z określonych pobudek, w różnoraki sposób starają się przekazać młodemu pokoleniu umiejętnie spreparowane „fakty” niewiele mające wspólnego z prawdą i obiektywizmem. Na bohaterów kreuje się zwykłych zdrajców, renegatów, żalosnych konformistów – zwłaszcza z obszaru okupacji sowieckiej. Podnosi się zasługi profesora wyższej uczelni, zupełnie przy tym „zapominając”, iż profesurę otrzymał on z rąk okupanta sowieckiego... Pisz się panegiriki ku czci wielkiego aktora, skrzętnie przy tym zatajając mało chlubne zachowanie się tegoż aktora w okupowanym przez bolszewików mieście. Mami się przeciętnego telewidza uporczywym cytowaniem różnego rodzaju „myśli nieuczesnych” czolo-

wego kolaboranta i zdrajcy z okupowanego przez Sowiety Lwowa. Niejednokrotnie usiłuje się też powoływać na tzw. „autorytety”... Czy osoba pisząca wspomnienia, a podpisująca się np. „autorytetem” tow. Jarosława Gałana, rodem z naszego Dynowa, uwzględniła fakt, iż są w kraju ludzie znający „twórczość” (zdecydowanie antypolską, służącą bibliografią!) i „działalność” tegoż osobnika podczas zarówno I-ej, jak i II-ej okupacji Lwowa?!

Właśnie z przytoczonych powyżej kilku zaledwie przykładów można określić stan zagrożenia w polskiej publicystyce wspomnieniowej z okresu II Wojny Światowej. Umiejętnie, z całą perfidią i premedytacją stwarza się przesłanki do usprawiedliwienia (!) – w imię „wyższych wartości” (jakich – sowieckich?!) owej, jakże haniebnej, kolaboracji z okupantem bolszewickim.

Jest to zjawisko ze wszech miar naganne, które z całą konsekwencją należy zwalczać i eliminować w imię prawdy historycznej.

Jeszcze o "Istriebitelných batalionach"

W związku z różną interpretacją spraw związanych w „Istriebitelnymi batalionami” podajemy oficjalną wypowiedź Sądu Najwyższego A. P. i U. S.: Sygn. akt III AZP 37/95 z dn. 3 IV 1996 r.

UCHWAŁA

Sąd Najwyższy Izba Administracyjna, Pracy i Ubezpieczeń Społecznych.

„1) Czy udział obywateli polskich w walkach w obronie ludności polskiej w latach 1944 i 1945 w ramach tzw. Niszczycielskich Batalionów na obszarach dawnych województw lwowskiego, wołyńskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego może być uznany za działalność kombatancą w rozumieniu art. 1 ust. 2 pkt. 4 lub pkt. 6 ustawy z dnia 24 stycznia 1991 r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz. U. Nr 17, poz. 75 ze zm.), a w razie odpowiedzi negatywnej

2) czy służba w Niszczycielskich Oddziałach podjęta i wykonywana w celu obrony ludności polskiej na wyżej określonych obszarach, uzasadnia odmowę przyznania uprawnień kombatanców osobie, która wcześniej pełniła służbę w Armii Krajowej stosownie do art. 21 ust. 2 pkt. 3 powołanej ustawy.”

podjął następującą uchwałę:

Przepis art. 21 ust. 2 pkt 3 ustawy z dnia 24 stycznia 1991 r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz. U. Nr 17, poz. ze zm.) nie uzasadnia odmowy przyznania obywatelowi polskiemu uprawnień kombatanców z tytułu pełnienia służby w Armii Krajowej, który po rozwiązaniu oddziału AK na polecenie władz lub rozkaz dowództwa sił zbrojnych podziemnego Państwa Polskiego brał udział w walkach z Ukrainką Powstańczą Armią wyłącznie w celu obrony koniecznej ludności polskiej na terenach dawnych województw lwowskiego, wołyńskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego w latach 1944 i 1945 w ramach tzw. Niszczycielskich Batalionów

(Istriebitelných Batalionów)

Problem właściwej i sprawiedliwej oceny udziału obywateli polskich w walkach z oddziałami UPA na terenach dawnych województw południowo-wschodniej Polski w ramach Niszczycielskich Batalionów o tyle jest trudny, że dopiero obecnie ujawniane są fakty historyczne fizycznego niszczenia ludności polskiej na tych obszarach przez nacjonalistyczne bojówki OUN i UPA, które zamordowały ponad 500 000 bezbronnych obywateli polskich, przeważnie na wsiach, starców, kobiety i dzieci, wobec wcielenia mężczyzn z tych terenów do Ludowego Wojska Polskiego w okresie wojny (por. A. Korman, Polscy „Istriebitiele” z lat 1944-1945 w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu, *Semper Fidelis*, Nr 3 (20) z 1995 r., s. 7-11). Problem uznania za działalność kombatancą walk obywateli polskich w ramach Niszczycielskich Batalionów staje się aktualny z tego względu, iż w świetle obecnie znanych faktów historycznych było oczywiście konieczne podjęcie walki obronnej w stanie wyższej konieczności o ocalenie przed biologicznym wyniszczeniem ludności polskiej przez bojówki OUN i UPA.

Podjęcie walki obronnej w stanie wyższej konieczności było w okresie wojny możliwe na tym terenie po usunięciu Niemców przez Armię Czerwoną w formach organizacyjno-prawnych dopuszczonych i nadzorowanych przez władze ZSRR. Polskie oddziały samoobrony mogły działać po otrzymaniu pozwolenia na posiadanie broni przez władze radzieckie.

W tej sytuacji – jak wynika z dokumentów i prac naukowo-badawczych po rozwiązaniu Armii Krajowej na polecenie władz Podziemnego Państwa Polskiego lub z rozkazu dowództwa sił zbrojnych AK albo dowódców poszczególnych oddziałów, żołnierze AK zobowiązani byli na terenach dawnych województw południowo-wschodnich Polski podjąć walkę obronną bezbronnej ludności polskiej w ramach tzw. Niszczycielskich Batalionów przed straszliwymi torturami, okrucieństwem, masowymi rzeżami, krwawym terrorem i zorganizowanym ludobójstwem

zbrodniczych bojówek Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) i Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA).

W tej skomplikowanej sytuacji ludności polskiej na obszarach dawnych województw południowo-wschodniej Polski nie znane są wypadki prowadzenia przez tzw. Niszczycielskie Bataliony działalności przeciwko ludności polskiej. Wręcz przeciwnie, stanowiły one jedyną legalną formę organizacyjną w latach 1944 i 1945, stwarzającą możliwość obrony i ocalenia własnego życia, rodziny, sąsiadów oraz okolicznej ludności polskiej przed jej zagładą, powodowaną przez bojówki UPA. Jak pisze w w.w. artykule A. Korman (s. 8) „Nie było innej alternatywy zachowania przy życiu żywiołu polskiego. Nie bronić się – oznaczało zginąć od noża, widel, siekiery czy też w płomieniach ognia.” Na rozprawie przed Sądem Najwyższym dr A. Korman okazał fotografie powieszonych na konarach drzewa kilkoro kilkuletnich dzieci oraz inne zdjęcia obrazujące nieludzkie tortury zamordowanych kobiet polskich, których opisanie w tym miejscu nie jest celowe i potrzebne. Działając w strukturze Niszczycielskich Batalionów, obywatele polscy – jak oświadczył dr A. Korman na rozprawie – nie składali niemieckiej przysięgi wojskowej, nie otrzymywali umundurowania ani żołdu i nie byli skoszarowani, ani nie tracili więzi z rodzinami i miejscem zamieszkania. Posiadali jedynie legalnie broń palną i amunicję i często pozostawali pod dowództwem oficerów polskich, poprzednio żołnierzy AK. Takie same

stwierdzenia zawiera pismo Związku Byłych Żołnierzy „Istriebitelnych Batalionów” z dnia 15 marca 1996 r. (złożone do akt niniejszej sprawy), w którym stwierdza się, że nie byli oni żołnierzami ani funkcjonariuszami NKWD, lecz posiadali zgodę władz radzieckich na rejestrację otrzymanej broni, której mogli używać w obronie ludności polskiej przeciwko nacjonalistom z UPA. W piśmie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej z dnia 28. 04. 1995 r., złożonego w Urzędzie do Spraw Kombatantów, jako zał. nr 7, zawarte jest stwierdzenie, że „żołnierze oddziałów „IB” toczyli walki zarówno z oddziałami banderowskimi, jak i oddziałami dywersyjnymi niemiecko-ukraińskimi. Wielu z nich w tych walkach poległo i przysługuje im pełne prawo do czci i chwały”.

(...)

Sąd Najwyższy rozpatrujący przedstawione zagadnienie prawne w świetle zebranego materiału w niniejszej sprawie podziela ten pogląd. Nie dotyczy to jednak terenów dawnych województw północnych Polski, tj. wileńskiego, nowogródzkiego i poleskiego, gdzie do oddziałów Istriebitelnych Batalionów wcielono Białorusinów, Litwinów i Rosjan, które występowały przeciwko polskim organizacjom niepodległościowym (por. cyt. pismo Związku Byłych Żołnierzy „Istriebitelnych Batalionów z dnia 18 marca 1996 r.). (...)

Na oryginale właściwe podpisy

Za zgodność

Kierownik Sekretariatu Wydziału

Zbigniew Umański

Wczoraj, dziś, jutro. Notatnik kresowy

● Goście Ossolineum

W końcu sierpnia w Zakładzie Narodowym im. Ossolineum we Wrocławiu odbyła się 18 sesja Stalej Konferencji Muzeów, Archiwów i Bibliotek Polskich na Zachodzie. Podczas uroczystego otwarcia sesji w auli Ossolineum nadano jej imię prof. Mieczysława Gębarowicza, ostatniego lwowskiego dyrektora tej instytucji o ogromnym dorobku historycznym i kulturalnym. W czasie sesji wygłoszono referaty naukowe o 50-leciu instytucji kultury polskiej na Zachodzie, o historiach polskich na obczyźnie, a dr Dobrosława Platt z Ossolineum zapoznała uczestników sesji z prasą polonijną w zbiorach ossolińskich i jej recepcją przed i po 1989 roku. W Dniu Ossolińskim uczestnicy wrocławskich obrad zapoznali się z dziejami Ossolineum, jego zbiorami, zwiedzili działy specjalne. Udział w konferencji wziął dyrektor Biblioteki Polskiej w Londynie dr Zdzisław Jagodziński. Spotkał się również z red. *Semper Fidelis* – dr Danutą Nespiak i dr. Z. Ojzyńskim.

Wypowiedź prezydenta Ukrainy Kuczmy podczas pobytu w Polsce, o możliwości zwrotu Polsce zbiorów Ossolineum pozostających nadal we Lwowie, zbudziła ogromne nadzieje i zainteresowanie „tematyką ossolińską” wśród wrocławskich lwowiaków. Tej też tematyce było poświęcone pierwsze, po wakacyjnej przerwie, spotkanie dyskusyjne w klubie TMLiKPW we Wrocławiu – „Leopolis”. Dr Jan A. Stepek, redaktor naczelny „Wieczoru Wrocławia”, który odwiedził ostatnio

b. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Lwowie, mówił o rozmowach przeprowadzonych z ukraińskimi bibliotekarzami, o rozproszeniu ossolińskich zbiorów, gdzie i jak są przechowywane i o perspektywach ich ewentualnego odzyskania za zwrot ukraińców znajdujących się w polskich zbiorach. Oczywiście wywiązała się potem ożywiona dyskusja.

● Wakacje w kraju ojców

Na zaproszenie Oddziału Wrocławskiego i Klubu nauczycielskiego TMLiKPW we Wrocławiu w dniach 1-20 sierpnia w Ośrodku Szkolno-Opiekuńczym w Sobótce, u stóp góry Słęży, przebywała na wakacjach 19-osobowa grupa dzieci polskich i z małżeństw mieszanych z Drohobycza na Ukrainie. Wraz z nimi wypoczywało w tym pięknie położonym ośrodku 37 dzieci polonijnych z W. Brytanii, zaproszonych na wakacje w kraju ojców przez Wspólnotę Polską.

Program pobytu młodych drohobyczan na ziemi wrocławskiej był niezwykle urozmaicony. Na tzw. warsztatach tanecznych (sfinansowanych przez urzędy Wojewódzki i m. Wrocławia) pod okiem instruktorki p. Alicji Issel, uczyły się narodowych tańców polskich, uczestniczyły w konkursach wiedzy o Polsce (nagrody książkowe ufundowało Wydawnictwo Dolnośląskie), w rozgrywkach piłki nożnej i siatkówki, które prowadził Jan Słaby, b. piłkarz, sportowiec, wiceprezes Oddz. Wrocławskiego TMLiKPW. A popularna „ciotka Bańdziuchowa” czyli Jadzia Henelowa uczyła ich polskich pieśni religijnych.

Zajęcia przeplatane były wycieczkami. Młodzi kresowiaci zwiedzili Wrocław tramwajem „Jaś i Małgosia” i statkiem po Odrze, podziwiali Panoramę Racławicką, a w Muzeum Narodowym zorganizowano im zajęcia plastyczne. Potem wyruszyli w Karkonosze – do Szklarskiej Poręby i Karpacza, gdzie zwiedzili świątynię Wang i Muzeum Lalek Henryka Tomaszewskiego, twórcy Pantomimy Wrocławskiej. I na zakończenie pobytu – Jasną Górę. Serdecznie żegnali się z organizatorami tych urozmaiconych wakacji! Odjeżdżając otrzymali od nich książki do nauki języka polskiego i inne podarunki.

● Do św. Anny Samotrzeciej

Opuszczając w 1946 r. Tłumacz (woj. stanisławowski) jego polscy mieszkańcy i ostatni proboszcz miejscowej parafii, ks. Franciszek Piszczor, zabrali ze sobą, z głównego ołtarza kościoła pod wezwaniem Św. Anny, czczony przez nich obraz św. Anny Samotrzeciej. Wraz z nimi trafił do Gniechowiec, potem do Kąt Wrocławskich, a później do kościoła w Siedlakowicach koło Wrocławia, gdzie osiedliła się duża grupa mieszkańców b. parafii tłumackiej.

Kilka lat temu, z inicjatywy Klubu Tłumaczan przy TMLiKPW, obraz poddano renowacji. Ponownego uroczystego poświęcenia obrazu dokonał 31 lipca 1994 r. J. Em. ks. Henryk kard. Gulbinowicz. Odtąd, co roku w końcu lipca, w Siedlakowicach odbywa się odpust, gromadząc wielu tłumaczan rozsianych nie tylko po Dolnym Śląsku. W tym roku była wśród nich pani Czesława Kramarz-Mandyna, która po przeszło 50 latach znowu mogła pomodlić się przed obrazem św. Anny Samotrzeciej, przed którym ją chrzczono i przyjmowała I Komunię. Mszę odpustową, w pięknie umajonym kościele siedlakowickim, odprawił, w asyście proboszcza ks. Zbigniewa Wróbla, ks. dr Jarosław Gnibor z Brzegu i wygłosił homilię.

Po mszy rodzina Kłapkowskich gościła serdecznie, jak co roku, tłumaczan przybyłych na odpust. Jak zwykle wspomnieniom nie było końca.

● Wycieczki na Kresy

Latem, jak co roku, odbywały się wycieczki kresowiaków do rodzinnych stron. Ze środowiska wrocławskiego wyjechały w br. dwie wycieczki – „Kołomyjanie” udali się na Pokucie, a stąd do Kamieńca Podolskiego i Lwowa. Klub „Leopolis” wybrał się tego lata tylko na kilkudniową wycieczkę do Lwowa i okolic – Brzuchowic i rodowej siedziby Aleksandra Fredry – Rudek. Obie wycieczki zawiozły, jak zwykle, paczki z darami dla naszych rodaków na Kresach.

● Pomoc dla Wołynia

Brzeski Oddział TMLiKPW wspólnie z „Gazetą Brzeską” zorganizował zbiórkę trwałej żywności i środków czystości. Zebrane dary wartości ok. 10 tys. nowych złotych wysłane zostały na Wołyn, na ręce s. Krystyny Kamińskiej – franciszkanki dla kolonii dziecięcej w Sokole, dla rodzin w Olyce, Cumanii, Lucku i Krzemieńcu. Za ofiarną pracę i organizowanie pomocy na rzecz Polaków na Wschodzie na wniosek Brzeskiego Oddziału TMLiKPW Zarząd Główny Towarzystwa przyznał p. Alicji Heflich Złotą Odznakę.

U.Z.

● Randes-vous stanisławowian

Od lat, co roku w ostatnią niedzielę września byli mieszkańcy Stanisławowa i okolic tego niegdyś wojewódzkiego miasta na Kresach II Rzeczypospolitej, spotykają się we Wrocławiu. Bo tu, nad Odrą, osiedliło się ich najwięcej. Organi-

zატorem spotkań jest Oddział Stanisławowski TMLiKPW. Tegoroczne było już piętnaste z kolei.

Rozpoczęło się tradycyjnie Mszą św. w Katedrze Wrocławskiej, gdzie jest wmurowana tablica upamiętniająca pomordowanych i zamęczonych mieszkańców ziemi stanisławowskiej w okresie II wojny światowej. Złożono pod nią kwiaty i zapalono znicze, odmówiono modlitwę za wszystkich. Uroczystą mszę celebrowali księża – kresowiaci: ks. kan. Stanisław Helowicz i ks. Kazimierz Bochenek. Śpiewał wrocławski Chór „Echo” TMLiKPW. Uczestniczyło ok. 200 stanisławowiaków – z Dolnego Śląska i wielu miast w kraju, a także z zagranicy. Wśród nich 78-letni pan Romuald Prokop, b. żołnierz I Brygady Spadochronowej, dowodzonej przez gen. Sosabowskiego, który przybył na wrocławskie spotkanie aż z dalekiej Australii.

Po Mszy stanisławowiaci zgromadzili się w katedralnym domu parafialnym, gdzie powitali ich serdecznie prezes Stanisławowian, p. Marian Ziobrowski, a w imieniu TMLiKPW i wrocławskich lwowiaków – p. Danuta Tabińska-Juhasz, skarbnik Zarządu Głównego Towarzystwa i prezes Fundacji „Semper Fidelis”. Pozdrowienia i życzenia od b. mieszkańców grodu Rewery-Stanisławowa, zamieszkałych obecnie w Krakowie przekazała prezes Klubu Stanisławowian TMLiKPW w tym mieście, p. Krystyna Stafińska od warszawskich Stanisławowiaków – prezes stołecznego klubu, p. Stanisław Leszczyński. Opowiedzieli też o działalności swoich klubów, imprezach przez nich organizowanych, pomocy i wycieczkach na Kresy. Prezes Stafińska poinformowała, że w ub. roku w Czarnym Lesie za Stanisławowem, gdzie znajdują się masowe groby ok. 3 tys. pomordowanych przez hitlerowców polskich nauczycieli, lekarzy, inżynierów i księży (pisze o tej zbrodni i na Wzgórzach Wóleckich we Lwowie M. Jordan w nr. 2 tegorocznego kwartalnika „Cracovia Leopoldis”), odkryto w głębi lasu kolejne mogiły. Czyje szczątki w nich się znajdują, kto je zidentyfikuje? Dowiedzieliśmy się również, że dobiegła szczęśliwego końca budowa dużego domu parafialnego przy kościele polskim p.w. Chrystusa Króla w Stanisławowie, rozpoczęta przez niestrudzonego ks. Halimurkę przy wydatnej pomocy byłych Stanisławowian. W przyszłym roku uczestnicy wycieczek-pielgrzymek do tego miasta będą mieli gdzie się zatrzymać. Upór, wsparcie i praca mimo olbrzymich trudności – przyniosły efekt. To dobra wiadomość, jak również i ta, że trzy klasy z językiem polskim działają tu już w szkołach.

A potem, w części towarzyskiej spotkania, przy kawie, ciastkach i owocach, dzielono się wrażeniami z wycieczek, wspomnieniami, wymieniano adresy. Nabywano grafikę, której tematem było ICH miasto...

Za rok, we wrześniu – XVI randes-vous stanisławowiaków. Daj Boże doczekać!

● Lwowskie czwartki we Wrocławiu

Choć lwowiakom nie udało się uzyskać od władz miasta odpowiedniego lokalu na środowiskowy klub-kawiarnię, nie przeszkadza to w rozwijaniu działalności kulturalnej. W październiku br. narodziła się kolejna środowiskowa impreza „Lwowskie czwartki”. Pierwszy odbył się już w restauracji „Bankowa” przemianowanej na zakończenie „II Lwowskich Dni nad Odrą” na „Lwowską” na co wyraził zgodę jej właściciel, kresowianin, p. Paweł Szymański. W pierwszy czwartek

października przybyli do „Lwowskiej” przedstawiciele TML-owskich klubów we Wrocławiu i Oleśnicy. Przyszli też, dotrzymując danego wcześniej słowa, państwo Halina i Wojciech hr. Dzieduszyccy oraz najstarszy, bo już 90-letni członek Klubu Strzecha Stryjska prof. Henryk Hordt. Rolę gospodyni wieczoru pełniła Anna Damm, popularna i lubiana we Wrocławiu piosenkarka, znana z kabaretu „Dymek z papierosa”, „Wieczorów przy samowarze” i innych recitali. Śpiewała piękne piosenki o Lwowie do słów znanych poetów zauroczonych tym miastem. Słuchając ich Tunio Dzieduszycki, który w swoim 82-letnim życiu był w młodości także śpiewakiem operowym, nie wytrzymał i dołączył swój głos do mezzosopranu Ani. Akompaniował im też rdzenny lwowianin, prof. Andrzej



Prof. H. Hordt (trzeci od lewej) częstuje pp. Dzieduszyckich chlebem kulikowskim własnego wypieku.

Fot. A. Zadrzewilski

Janusz z Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Państwo Dzieduszyccy obchodzili 50-lecie pożycia małżeńskiego i z tej okazji otrzymali od przyjaciół cenne dla nich pamiątki z czasów młodości. Potem była degustacja kresowych potraw przygotowanych przez kucharza „Lwowskiej”, a chleb kulikowski wypieczony specjalnie na tę okazję był dziełem prof. H. Hordta.

Następny lwowski czwartek odbędzie się w „Lwowskiej” 7 XI br. Tak się rodzi lwowska nowa tradycja w mieście n. Odrą.

● Spotkanie w Klubie TMLiKPW w Kępnie

W Kępnie działa Klub naszego Towarzystwa, który, choć niewielki ilościowo, skupia lwowiaków bardzo czynnie zaangażowanych w jego działalność.

We wrześniu br. odbyło się spotkanie członków Klubu z Ojcem J. Witwickim, paulinem, rodowitym lwowianinem pełniącym stale posługi duszpasterskie dla nielicznych katolików w Szwecji. Spotkanie to, które prowadził prezes Klubu dr Kazimierz Dradrach upłynęło w miłej i bardzo serdecznej atmosferze i zgromadziło wszystkich jego członków.



Członkowie Klubu TML i KPW w Kępnie

Danuta Tabińska-Juhasz U Polaków w Kijowie

W tym pięknym starym grodzie przebywałam pod koniec sierpnia 96 r., na zaproszenie redakcji „Dziennika Kijowskiego”, z którym Fundacja Kresowa „Semper Fidelis” współpracuje już od trzech lat.

Byłam mile zaskoczona serdeczną gościnnością i wprost troskliwością, żeby w tak krótkim czasie pokazać mi jak najwięcej śladów polskości w Kijowie oraz zapoznać z obecnie tu żyjącymi Polakami zrzeszonymi w kilku polskich organizacjach.

Kijów posiada 3,5 miliona mieszkańców w tym jest 10 400 Polaków. Przed rewolucją liczba Polaków stanowiła 14,5% ogółu mieszkańców Kijowa. Była to przede wszystkim inteligencja, bogate mieszczaństwo i ziemiaństwo polskie. Wkład ich w kulturę Kijowa był wielki i do dziś jest widoczny np. w architekturze i dawnych księgozbiorach.

Piękna miastu dodaje wspaniała szeroka rzeka Dniepr (opiewana w znanej pieśni „Rewe da stohne Dnpr szeroko-”

kij...” ze strofami Tarasa Szewczenki) Liczne mosty łączą oba brzegi, gdzie na prawym rozłożyło się stare zażytkowe miasto. Na lewym zaś wybudowano olbrzymie dzielnice mieszkaniowe. Największy most na Dnieprze nosi nazwę Patona.

Głównym środkiem komunikacji jest bardzo szybkie i głębokie (miejscami przekracza 100 m) metro. Co 5 minut z marmurowych zazwyczaj przystanków odchodzą siedmiowagonowe składy na 3 liniach przecinających się ze sobą. Autobusy i trolejbusy są bardzo zatłoczone i chodzą raczej niepunktualnie.

Na środku Dniepru rozłożyła się duża wyspa Truhanowa z licznymi piaszczystymi plażami i ośrodkami rekreacyjnymi. Niestety w dalszym ciągu ludzie unikają takiego wypoczynku z obawy przed czarnobylskim skażeniem. Statystyki notują wzmożenie chorób płuc, tarczycy. Ludzie odczuwają po południu ogólne zmęczenie, senność, bóle głowy. Pozostało jeszcze dużo przemysłu państwowego, są jednak przestoje z powodu braku surowca z Rosji. Pracowników wprowadzić nie zwalniają, ale im nie płacą, zresztą nawet i tym, którzy pracują w sklepach, a zwłaszcza na licznych bazarach, ale niewielu stać na kup-

no. W centrum otwarto firmowe zachodnie magazyny. Przed sklepem z dzinsami na Kryszczatym widziałam nawet kolejkę. Kapitalizm objawia się też w tzw. systemie bezpośredniej sprzedaży. To znaczy, że młodzi ludzie w białych koszulach i krawatach z uśmiechem grzecznie kłaniając się chcą porozmawiać o oferowanych towarach zachodnich firm, które właśnie rozprowadzają.

Mogłam przekonać się naocznie o takich praktykach odpoczywając na ławce na skwerze, pod znaną wszystkim Złotą Bramą Kijowa. O tę bramę, jak głosi legenda, Bolesław Chrobry uderzył mieczem uszkadzając go, stąd jego nazwa – Szczerbiec.

Gościenna Redakcja „Dziennika Kijowskiego” zorganizowała bardzo przyjemne i interesujące spotkanie z przedstawicielami organizacji polskich.

Redakcja była w komplecie: naczelny Stanisław Panteluk, z-ca Borys Dragin, Eugeniusz Tuzow Lubański, sekretarz Anna Cybulska i Lucyna Slezzerowa.

– Po śmierci p. Szałackiego, założyciela Związku Polaków na Ukrainie, funkcję prezesa po nim pełni p. Stanisław Kostecki. ZPU powstało 4. 07. 1988 roku. Obecnie w 39 Oddziałach zrzesza około 12 000 członków. Obejmuje Ukrainę Centralną i Wschodnią.

– Pan Anatol Romejko prezesuje Stowarzyszeniu Polaków im. Adam Mickiewicza, wchodzącej w skład ZPU. Stowarzyszenie ma polską bibliotekę z czytelnią. Dochodzi tu poprzez Ambasadę polska prasa, wprowadzie z opóźnieniem, ale też chętnie czytana przez Polaków.

– Miły wieczór uprzyjemniały dwie panie ze Stowarzyszenia Polskiego „Zgoda” prezes p. Wiktoria Radzik, prowadząca zespół dziecięco-młodzieżowy pieśni i tańca „Jaskółka” oraz p. Czesława Raubiszko, zajmująca się opieką oraz dokumentacją polskich grobów na starym cmentarzu „Bojkowy”.

Obu Paniom zaawdzięczałam całodzienną wyprawę na ten zabytkowy cmentarz, gdzie w alei zasłużonych stoi pomnik Wandy Wasilewskiej z polskim napisem. Odwiedziłam też kwaterę legionistów polskich z 1920 r., gdzie zostało pochowanych 144 żołnierzy Piłsudskiego. Pozostały już nieliczne groby i betonowe słupki z ogrodzenia. Polacy postawili tu metalowy krzyż i zasadzili kwiaty oraz oczekują na obiecanie przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa z Warszawy wystawienie obelisku upamiętniającego wydarzenia z 1920 r.

Wracając do miłego spotkania w siedzibie redakcji Dz.K. dowiedziałam się, że Wspólnota Polska zorganizowała ogólną konferencję, na której powołano Tymczasowy Komitet Porozumiewawczy, który wyłonił Radę Koordynacyjną. Weszło do niej po 5 członków z ZPU i 5 członków Federacji Organizacji Polskich. Powinno to gwarantować dobrą współpracę Polaków na Ukrainie.

Tak wsłuchując się w czystą, poprawną polszczyznę tego wieczoru, wielkie zaangażowanie w pracę społeczną tych ludzi, wysłuchując ich problemów i planów na przyszłość wieczór ten upłynął szybko, a trwał do późnych godzin nocnych. P. Wiktoria prowadząca „Jaskółki” ma trudności ze strojami dla zespołu (pomocy na nie Wspólnota Polska odmawia). Prosi więc przynajmniej na wzór (uszyje sama we własnym zakresie) strój męski ullański

do poloneza, do tańców salonowych oraz kaftany męskie do strojów lubelskich, rzeszowskich. Mogą być też części strojów, jak pasy, czapki, wykroje, opisanie tańców polskich itp. Zespół ten liczy 20-25 młodzieży, P. Wiktoria proponuje wymianę zespołów, gdyż może ona zapewnić występy w kijowskiej operze, a noclegi po domach. Ferie zimowe mają w tym roku od 31 XII 96 do 10 I 97. Chętnie przyjąłaby zaproszenie zespołu na kolonie-warsztaty do Polski, gdzie dzieci mogłyby dać zimowe koncerty. P. Wiktoria może też zająć się indywidualnymi solistami, lub umożliwić polskim naukowcom korzystanie z archiwów. Prosimy zatem o propozycje, a Fundacja umożliwi kontakty.

Odwiedziłam również w Kijowie Dom Polski przy ul. Saksagańskiego 99/4. Jest to duże mieszkanie 3-pokojowe na parterze, pięknie odremontowane. Gospodarzem jest energiczna i bardzo miła p. Ludwika Niżyńska. Mieszkanie to zakupiła 2 lata temu dla Federacji Organizacji Polskich Wspólnota Polska w Warszawie. Federacja zrzesza 47 polskich autonomicznych organizacji i 17 obwodowych. Powstała w 1991 roku i objęła swoim zasięgiem Ukrainę wschodnią i centralną. Do Federacji nie wszedł tylko Związek Polaków, który istniał już od 1988 roku. Pani Ludwika opowiada, jak bardzo taki lokal był potrzebny Polakom. Jest czynny od godz. 10-tej do 17-tej, często do 20-tej. Tygodniowo przewija się tu około 100 osób. Różną działalność prowadzą kluby. Są to: szkoła języka polskiego – uczą dwie polskie nauczycielki z Opola i z Warszawy, klub muzyczny, harcerski, seniora, zdrowia i konsultacji medycznych, młodzieżowy, pieśni i poezji polskiej, grupa charytatywna itp. Pani Niżyńska mówi, że obwody Żytomierski, Winnicki i Chmielnicki to w 68% Polacy, potrzebują oni dużej pomocy, żeby tę polskość przywrócić i chętnie wstępują do organizacji polskich.

Federacja ma osiągnięcia w skali światowej. Podziwiałam statuetkę-dyplom „Polonusa” za 1995 r., którą Federacja otrzymała w dniu 10 I 96, gdy weszła jako członek Rady Polonii Świata.

Najbliższe plany pracy Federacji to 5-10 X 96 Festiwal Kultury Polskiej we Lwowie, a 10-13 X 96 sesja naukowa w Żytomierzu „Polski szlak do Kazachstanu” w 60-lecie wywózek Polaków. Życzę p. Ludwice i p. Marii, która jest jej prawą ręką, powodzenia w realizacji tych ambitnych planów i abyśmy się wszyscy spotkali na tych imprezach. Złożyłam też wizytę w polskim konsulacie, gdzie konsul, p. Grzegorz Kaczmarek, wykazał duże zainteresowanie działalnością Fundacji i Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Ważnym problemem podczas tej rozpowy była sprawa cofnięcia dotacji na prasę mniejszości narodowych na Ukrainie, w tym na „Dziennik Kijowski”. Pan konsul obiecał pomoc, zainteresowany był również otrzymywaniem naszych wydawnictw.

Przez cały pobyt w Kijowie mogłam mówić o staropolskiej gościnności. Dziękuję więc bardzo serdecznie wszystkim, a w szczególności p. Borysowi Draganowi, który był świetnym przewodnikiem po polskich ścieżkach Kijowa.

Wśród książek

O poezji

Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” wydało antologię wierszy współczesnych poetów polskich zamieszkanych na Ukrainie pt. „Gdzie jesteś Ojczyzno”. Krótkie noty biograficzne i słowo wstępne jest autorstwa Teresy Dutkiewicz a opracowanie redakcyjne Barbary Krydy i Oskara Czarnika. Poezja ta jest świadectwem, uczuć, przeżyć, tradycji kulturalnych i postawy ideowej Polaków żyjących dzisiaj na byłych Kresach I i II Rzeczypospolitej, ale przede wszystkim tej drugiej. W uwagach wstępnych Teresa Dutkiewicz, która te wiersze zebrała, napisała: „Od Źgrodu do Kijowa, od Lucka do Stanisławowa, sentymentalni, niemodni i tradycyjni żyjemy na ziemiach ojczystych nie należących w dzisiejszych układach do Ojczyzny lecz duchem jesteśmy z Ojczyzną złączeni” a Barbara Kryda w posłowie stwierdziła, że „...ta publikacja spełnia więc ważną rolę swoistej reedukacji nas wszystkich... Miejmy nadzieję, że jest pierwszym ogniwem łańcucha serc odbudowanej Ojczyzny – mimo granic i fizycznego oddalenia wspólnej dla wszystkich, którzy Ją tworzą”. Oto dwa wiersze z tej antologii..

Mieczysława Piotrowska

Wędrownika

*Po mlecznej drodze, po czumackim szlaku
jadę w niewiadome bez przydrożnych znaków,
jadę po tej Ukrainie jasnym październikiem
drogą, która w nocy ginie w horyzontów styku.
Skrzypią osie nie zmaszczone niedotartą myślą,
tęsknią woły niepojone stepowym poświtem,
podróżując jaskrawego października niebem
karmię osiadłe myśli – wędrowania chlebem...*

Krystyna Angielska

Przetrawianie

*Byliśmy, jesteśmy i będziemy,
choć gnębiono nas i może będą gnębić znów.
Lecz korzenie nasze są z tej ziemi,
więc gotowiśmy do nowych ciężkich prób.
Gdy nas spalą – odrodzimy się z popiołów,
gdy zatopią z błota dna zakielkujemy wzwyż
poniżani – nie schylimy kornie czoła
niosąc swój codzienny, ciężki bólem krzyż.
Wyrośniemy stokrotkami w bujnej trawie,
dla innych kwitną laury i wawrzyny,
zostawimy swej Ojczyźnie sny o sławie, bo my tutaj
przetrawać oraz żyć musimy*

Zdzisław Ojrzynski

Alfabet lwowski po raz trzeci

Oczekiwany przez sympatyków popularnej literatury biograficznej trzeci tom „Alfabetu lwowskiego” J. Janickiego wyszedł w bieżącym roku w oficynie wydawniczej „BGW”. Zawiera 37 nazwisk wybranych dowolnie wy-

bitnych i nie wybitnych lwowian, w biogramach których zamieszczone są spore informacje o ich bliższych i dalszych krewnych, przyjaciółach i znajomych. Jak i poprzednie tomy pisany „lekką, łatwo i przyjemnie”. Gdyby zechciał być autor trochę bardziej sumienny i nie puszczał wodzów fantazji tam gdzie nie dostaje mu wiedzy, to byłby to tom mniej obarczony błędami niż poprzednie. Ale Janicki dalej chce udowodnić nam, że w temacie „lwowskim” jest najlepszy. W trzecim tomie pozwolił sobie w dodatku na wątpliwe z punktu widzenia osobistej kultury komentarze. Na s. 128 ironizuje na temat „wartości chrześcijańskich” w kontekście frywolnego wiersza A. Wali-górskiego poświęconego prof. Nowosadowi. Co ma pier-nik do wiatraka chciałoby się zapytać. Na s. 141 w bio-gramie ks. J. Popławskiego zaprezentował płaską humo-reskę o Mszy św., którą jakoby miał odprawiać w dzie-ciństwie ten kapłan posługując się czekoladową hostią. Ani to dowcipne ani chyba prawdziwe.

Co do błędów w tej książce – oto tylko kilka z nich. Światowej sławy chirurg, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, Ludwik Rydygier nie był nauczycielem drugiego słynnego lwowsko-wrocławskiego chirurga, prof. W. Brossa, gdyż ten w roku jego śmierci nie miał jeszcze nawet matury. Tak samo Rydygier (1850-1920) nigdy nie był nauczycielem drugiego lwowsko-wrocławskiego chirurga prof. S. Koczorowskiego, bo gdy Koczorowski rozpoczynał studia we Lwowie, Rydygier nie żył od 8 lat. Prof. Bross nie przekraczał w 1945 r. granicy jałtańskiej, bo od 1944 r. pracował już w Iwonieczu. Przy ulicy Teatynskiej we Lwowie nie było Kliniki Przeciwgruźliczej, tylko Szpital SS Miłosierdzia. Lwo-wianin prof. dr A. Kleczeński (nie Kleczyński, jak ciągle w książce) nigdy nie był rektorem Uniwersytetu Wrocławskiego (s. 126).

Z sobie tylko znanych powodów J. Janicki przeciął żywot wybitnie zasłużonego dla Lwowa i Polski patriotycznego wielce rodu Longchamps de Berier.

W biogramie przedstawiciela tej rodziny, Jana (s. 101, 105), stwierdził, że jest on ostatnim jej reprezentantem i zamyka 250-letnią polską historię tego rodu. Jest to nieprawda. Longchampsowie i po mieczu i po kądzieli żyją w Polsce i we Francji. Np. na wielkiego prawnika zapo-wiada się Jakub Longchamps, syn Sławomira Longchamps-a, wnuk Franciszka Longchamps-a (1912-1969), profesora prawa na Uniwersytecie Wrocławskim. Autor „Al-fabetu” nie umie zlokalizować wrocławskiego pomnika Pomordowanych Profesorów Polskich we Lwowie 4 VII 1941, kiedy to zginął ojciec prezentowanego w biogramie Jana – Roman Longchamps de Berier, rektor Uniwersyte-tu Jana Kazimierza. Napisał, że pomnik znajduje się „na tamtejszym cmentarzu” (s. 182), a przecież znany opinii społecznej pomnik stoi przed gmachami Politechniki Wro-cławskiej. Janicki pomylił go z pięknym pomnikiem Orląt Lwowskich, o którym być może słyszał, znajdującym się na cmentarzu Św. Rodziny we Wrocławiu. Znaczący pro-blematyki lwowskiej wypada wiedzieć, kto był arcybisku-pem metropolita lwowskim w okresie 1900-1923, tym bardziej że chodzi tu o kapłana wielkiego formatu, które-

go proces beatyfikacyjny jest w toku. Był nim Józef Bilczewski, a nie ks. Władysław Bandurski, biskup pomocniczy, którego J. Janicki „awansował” na arcybiskupa (s. 57).

Z garści tych uwag może jeszcze jedna. Wielki badacz wschodniej Syberii, zoolog, prof. Benedykt Dybowski mieszkał w swoim stylowym dworku z kolumnami we Lwowie przy ul. Zaścianek (która potem przy-

jęła jego imię), a nie na ul. Żyrzyńskiej (s. 163). Dworek ten ostatnio został okrutnie oszpecony, bo Ukraińcy zamurowali mu kolumny. Siedzibę Dybowskiego pokazuje lwowiakom z Polski p. Czesława Cydzikowa, która red. nac. „Semper Fidelis” ofiarowała rysunek dworku swego autorstwa przed jego nieszczęsną przebudową.

Danuta Nespiak



Listy do redakcji

Od kilku lat drogi moje kierują się często na południowo-wschodnie rubieże naszej dawnej Rzeczypospolitej, bo stamtąd wywodzą się moje korzenie i specjalnie bliskie są mi losy ludzi, którzy tam pozostali aby świadczyć o polskości tych terenów.

Ostatnio odwiedziłam z krakowskim oddziałem Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich Lwów i kilka mniejszych miejscowości. Uczestniczyliśmy w pielgrzymce do Kamionki Strumiłowej, gdzie w odzyskanym niedawno XV-wiecznym kościele odbyła się msza św. odprawiona w licznej asyście okolicznych księży przez biskupa lwowskiego Marcjana Trofimiaka. Konsekrowano tam kopię cudownego obrazu Pana Jezusa Milatyńskiego, którego oryginał znajduje się w kościele księży Misjonarzy św. Wincentego a Paulo w Krakowie. Odwiedziliśmy też w tym dniu Milatyn, w którym kościół, zdewastowany podobnie jak wszystkie inne w epoce komunizmu, odzyskuje powoli swój wystrój, ale już jako cerkiew. Podziwiać należy żmudną pracę naszych konserwatorów zabytków z Warszawy, którzy przywracają dawne oblicze kolegiaty w Żółkwi związanej z rodem Żółkiewskich. W ciągu niedługiego czasu wykonano bardzo wiele prac. Piękna cerkiew Bazylianów w Żółkwi zachowała dawny wystrój zewnętrzny i nienaruszone wnę-

trze. Zadziwiła mnie tam polichromia na jednej ze ścian kopuły, przedstawiająca dwie grupy żołnierzy UPA (banderowców) uzbrojonych po zęby, błogosławionych przed akcją bojową przez jednego ze zwierzchników kościoła grekokatolickiego. Postać błogosławiącego jest obecnie zamazana i nie do rozpoznania.

Przypominają się tragiczne czasy mordów Polaków na Podolu i Wołyniu, o których pamięta każdy z byłych mieszkańców tych terenów.

Wstąpiliśmy też w naszej wschodniej wędrówce do bardzo ciekawej, rdzennie polskiej wsi Strzelczyśka koło Mościsk.

Od kilku lat proboszczem tam jest ksiądz Andrzej Rams rodem z Sądecczyzny tryskający optymizmem, życzliwością i niesłychaną energią. Ma zresztą powód do radości i dumy zarówno z tego, że wybudował kościół jak i z hartu ducha swoich parafian. Wytrwali oni w swej polskości, mimo prześladowań w okresie komunizmu, izolacji od sąsiadów i bardzo ciężkich warunków życia. Są teraz szczęśliwi mając swój kościół, polską szkołę i powoli podnosząc poziom życia. Mogą oni być przykładem powiedzenia, że „chcieć to móc”.

O Lwowie nie będę pisać, bo jestem tam dość często i coraz mi smutniej obserwując stałą degradację miasta i beznadziejność życia jego mieszkańców. Przeżyłam tam

jednak chwile wielkiego wzruszenia podczas koncertu Capelli Cracoviensis w katedrze lwowskiej. Koncert składał się z utworów dedykowanych swojemu miastu przez kilku kompozytorów polskich. Dyrygował Józef Radwan. Nazwiska kompozytorów mówią same za siebie. Oto one: Wojciech Kilar, Stanisław Skrowaczewski, Bogusław Schaeffer, Andrzej Kurylewicz, Tadeusz Mahl, Krystyna Moszumańska-Nazar, Andrzej Nikodemowicz. U stóp ołtarza, przed którym w 1656 roku król Jan Kazimierz oddawał Polskę pod opiekę Matki Boskiej Łaskawej królują-

cej nad ołtarzem, ślubując bronić wiary katolickiej i praw ludu zabrzmiały uroczyste nuty utworów przepojone częścią, jak pisze Bogusław Schaeffer smutkiem i melancholią z powodu długotrwałej tęsknoty za utraconym miastem. Na zakończenie chór Filharmonii i zgromadzeni wierni odśpiewali na stojąco pieśń „Śliczna Gwiazdo miasta Lwowa, Maryja”.

Szczęśliwa jestem, że mogłam to przeżyć.

Danuta Haczewska

Apele

● Na wstępie pragnę podzielić się z wami radosną wiadomością iż 18 maja 1996 roku papież Jan Paweł II odnowił diecezję Łucką. Jej administratorem apostolskim mianowany został Metropolita Lwowski ks. prof. dr abp Marian Jaworski. Jest to jakieś uznanie tego wszystkiego, co dokonało się na Ziemi Wołyńskiej w ciągu ostatnich lat. W styczniu 1991 roku, gdy odnowiono metropolię lwowską oraz diecezję kamieniecką i żytomierską, dla diecezji łuckiej nieznaczono ordynariusza. Stało się tak, gdyż za czasów reżimu komunistycznego zostały zamknięte wszystkie kościoły – ostatnie w Równem (1958), Ostrogu (1959) i Korcu (1962) – i nie pozostał tu ani jeden kapłan. W 1988 roku czynna była jedynie jedna parafia, w Krzemieńcu (obecnie obwód tarnopolski), gdzie od 1974 roku duszpasterzował ks. Marek Trofimiak, obecny biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej. Pierwszym na nowo otwartym kościołem jest świątynia w Ostrogu, gdzie pierwszą Mszę Świętą, po trzydziestoletniej przerwie, odprawił w dniu 12 listopada 1989 roku ks. Antoni Andruszczyszyn ze Sławuty. Obecnie na terenie diecezji istnieją 34 parafie w obwodzie wołyńskim i rówieńskim. Proboszczem łacińskiej katedry pw. Piotra i Pawła w Łucku jest ks. pralat Ludwik Kamilewski.

Niewiele świątyń katolickich na Wołyniu posiada dzwony. W dekanacie rówieńskim jedynie kościół w Korcu może poszczycić się tym, że ma dwa dzwony. Tym bardziej ośmielałem się prosić o pomoc w rozpoczętym dziele odbudowy dzwonnicy przy kościele pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu i sprawieniu dzwonów. Powie ktoś, iż ważniejsze są wydatki i sprawy. Ale czym są dzwony na Wschodzie, i jak bardzo jest ważne aby były one przy świątyni, przekonałem się swego czasu w Zdolbunowie, gdy na dźwięk prymitywnego „dzwonu zrobionego z butli gazowej po obcięciu dna, wnuczka przyszła z babcią do świątyni, bo „tam modlą się ludzie do Boga, i tam nas czekają”.

W ubiegłym roku odnaleźliśmy fundament dzwonnicy zburzonej na początku lat sześćdziesiątych. Po jego odkopaniu i oczyszczeniu oraz na podstawie archiwalnych fotografii miejscowy architekt rejonowy wykonał plan odbudowy dzwonnicy, który otrzymałem na Wielkanoc tego

roku. W ciągu ostatnich miesięcy został wzmocniony fundament i wykonana podmurówka. Obecnie przystąpiliśmy do odbudowy filarów dzwonnicy. Wykorzystując pozytywną atmosferę ze strony miejscowej władzy i widząc wielkie zaangażowanie w tę sprawę naszych parafian chciałbym to wielce kosztowne przedsięwzięcie doprowadzić do końca. Ufam, iż wielu naszych dotychczasowych Dobroczyńców pospieszy nam z pomocą. W przyszłym roku będziemy obchodzić dwie podniosłe rocznice – 100-lecie odbudowy kościoła w Ostrogu po pożarze oraz 250 rocznicę przybycia do naszego miasta. OO. Kapucynów. Marzymy by na rezurekcyjną zadzwoniły nasze dzwony, by z dzwonnicy naszego kościoła ogłosiły w naszym mieście i w okolicy Trzecie Tysiąclecie Chrześcijaństwa. Zwracam się do wszystkich Miłośników Ziemi Wołyńskiej, aby zechcieli włączyć się duchowo przez modlitwę w tej intencji oraz powiadomić swoich bliskich, znajomych o podjętej sprawie i poprzeć ją złożonym darem.

Ks. Witold Józef Kowalów

Proboszcz parafii Ostroń

Ofiary można składać na konto Społecznego Komitetu Pomocy Parafii Rzymskokatolickiej w Ostrogu na Wołyniu: BDK O/Janów Lubelski nr 338217-52360-132 z dopiskiem „Dzwony w Ostrogu”.

● Jesteśmy rodziną polską z Kazachstanu, która 29 V 1995 r. przyjechała na pobyt stały do gminy Czarna na zaproszenie jej władz.

Gmina przydzieliła nam do mieszkania drewniany dom i 40-arową działkę. Mamy dwóch synów w wieku 11 i 12 lat. Mąż pracuje fizycznie i b. mało zarabia. Ja od stycznia b. r. pracuję na pół etatu w szkole. Jeżeli znajdą się osoby, które zechciałyby pomóc nam finansowo w zagospodarowaniu się, byłibyśmy bardzo wdzięczni.

Walentyna i Wiktor Jachimowicz

Bystre 10

38-710 Czarna

● Polskie Towarzystwo Ludoznawcze (Zarząd Główny) wspólnie z naszym Muzeum oraz Muzeum Historycznym we Wrocławiu planuje w pierwszej połowie 1997 roku wystawę „Dziedzictwo kulturowe wsi podolskiej na starej foto-

grafii". Jej podstawą będą archiwalne zdjęcia, wybitnego wrocławskiego etnografa, prof. Józefa Gajka, z lat trzydziestych naszego stulecia, zbiory Leopolda Węgrzynowicza z początku XX wieku oraz Michała Greima z drugiej połowy XIX wieku. Wystawę uzupełnią zabytki gromadzone przez Muzeum Etnograficzne od pierwszych lat powojennych.

Organizatorzy tej ekspozycji pragną przedstawić, w miarę możliwości, pełny obraz życia dawnej wsi podolskiej na szerokim tle kulturowym i historycznym ówczesnych Kresów.

Chcielibyśmy także, aby mieszkańcy Dolnego Śląska włączyli się w organizację wystawy poprzez użyczenie

Muzeum pamiątek rodzinnych, zdjęć, dokumentów, obrazów, ceramiki, pocztówek, widokówek, grafiki, tkanin, pamiątek z życia publicznego pochodzących z terenów Podola. Przekazane nam materiały będą cennym uzupełnieniem organizowanej ekspozycji.

Mamy nadzieję, że dla wielu mieszkańców Dolnego Śląska wystawa ta będzie swoistym powrotem do rodzinnych stron.

Informacji w sprawie organizowanej wystawy udziela: mgr Irena Zielińska, Arsenal Oddział Muzeum Historycznego, tel. 44-15-71 i mgr Dorota Jasnowska, Muzeum Etnograficzne, tel. 44-33-13.

Poszukiwania

Jestem człowiekiem samotnym, sierotą wojennym, który na stare lata chciałby poznać okoliczności wczesnego dzieciństwa i ewentualnie poznać rodziców i rodzeństwo.

Dokumentacja mojego życia urywa się w roku 1946, kiedy to w wieku 4 lat powróciłem wraz z innymi dziećmi transportem z Sambora k. Lwowa. Prawdopodobnie przebywałem tam w getcie. Do Szamotuł przybyłem w dniu 26 VI 1946 r. transportem dzieci opuszczonych z Sambora i zostałem umieszczony w Domu Dziecka „Caritas” w Szamotułach. Mam informacje, że wraz ze mną przyjechały do Szamotuł dwie siostry zakonne – Magdalena Mikulicz i Alojza Kulawiecka. Nazywam się Jan Lewit, ur. w 1940 r. Nie pamiętam dużo ze swego dzieciństwa.

Pamiętam tylko, że prowadził mnie za rękę mężczyzna w mundurze – może to był mój ojciec?

W 1947 r. zostałem przysposobiony do rodziny zastępczej i nadano mi nazwisko Koput.

Dowiedziałem się także, że znalazła mnie na ulicy w Samborze dziewczynka i odprowadziła do ochronki, względnie getta. Zaznaczam, że imię Jan mi nadano, ponieważ miałem tylko na tasieście wypisane nazwisko Lewit.

Mój adres: Jan Koput-Lewit, ul. Dworcowa 51, 64-500 Szamotuły.

Poszukuję mego Ojca, adwokata, Karola Czerwińskiego, zamieszkałego przed wojną we Lwowie przy ul. Wronowskich 11, a aresztowanego przez NKWD w 1939 r. Wszelkie informacje proszę kierować na adres: Teresa Czerwińska-Majówka, Strzyżów nad Wisłokiem, Zawale 23, woj. Rzeszów.

Informacja finansowa

W numerze 6/95 Semper Fidelis na liście ofiarodawców Congress ETS Hamilton Kanada figuruje wpłata w wys. 9.089 zł z zaznaczeniem na odbudowę Cmentarza Orłat. Sumę tę (po przeliczeniu 5 tys. dolarów kanadyj-

skich) jako wynagrodzenie za swoje występy artystyczne w Hamilton przeznaczył w całości na ten cel śp. Jerzy Michotek wówczas już poważnie chory. Ten piękny szlachetny gest i bezinteresowność niezapomnianego barda lwowskiego zasługuje na najwyższe uznanie.

Errata

Chochlik drukarski spowodował, że w nr 3/96 Semper Fidelis w treści napisu na tablicy nagrobnej śp. generała St. Maczka, omyłkowo wydrukowana została data jego śmierci. Oczywiście powinien być rok 1994.

W nrze 4/96 do artykułu A. Lewickiego wkradły się również błędy. Na str. 8 wiersz 8 od dołu winno być „kapral podchorąży AK” a nie „kapral-chorąży AK”. W wierszu 3 od dołu natomiast powinno być „Z-ca Prezesa Środowiska Żołnierzy Armii Krajowej Obszaru Lwowskiego w Krakowie” zamiast „Vice-prezesa Ogólnopolskiego

Okręgu Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego w Krakowie”. Za te pomyłki przepraszamy naszych Czytelników.

Uwaga Czytelnicy

Zarząd Główny TMLiKPW informuje, że posiada skrytkę pocztową. Prawidłowy adres do korespondencji jest następujący: skr. pocztowa nr 1042, Wrocław 3.

Z żałobnej karty

Pamięci Generała

26 sierpnia 1996 r. minęło 20 lat od śmierci Obrońcy Lwowa 1918 r. generała dra Romana Abrahama. Przy Jego grobie we Wrześni, gdzie spoczywa obok swej Matki, stanęli żołnierze z pocztami sztandarowymi 14 p Ułanów AK-owców oraz kombatancki AK z Wrześni. Pamięć Generała podkreślił w swym przemówieniu dyrektor Zespołu Szkół Roln. we Wrześni p. mgr Eugeniusz Paterski. M.in. powiedział, że szkoła ta ma za patrona śp. Generała, którego popiersie stoi w holu, a dzień imienin Generała, 28 lutego, jest świętem szkoły. Przemawiali też inni kombatancki, wśród nich, o ważnej i wielkiej roli działalności śp. Generała w okresie komuny, żołnierz i długoletni więzień st. szer. Władysław Załogowicz. Na zakończeniu uroczystości ks. kanonik dr Kazimierz Główny odmówił modlitwę za spokój duszy Generała, a p. Marta Abrahamowa w ciepłych słowach podziękowała przybyłym uczestnikom za uczczenie pamięci zmarłego Męża.

Z.O.

30. 07 1996 r. w wieku 100 lat zmarła w Szczecinie uczestniczka Obrony Lwowa – sanitariuszka śp. Stanisława Klimkowska-Bieńkowska odznaczona Krzyżem Obrony Lwowa 1918 oraz Krzyżem Walecznych za lata 1918-1920.

„S.F.” w nr. 3-4 z 1992 r. odnotował: „...Podczas obrony Lwowa była trzykrotnie ranna, pod silnym ostrzałem wyniosła z pola walki na Persenkówce śmiertelnie rannego, legendarnego Antosia Petrykiewicza.

W latach 1920-23 śp. pani Stanisława Klimkowska-Bieńkowska studiowała malarstwo u prof. Sichulskiego we Lwowie, a w latach 1923-30 w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W r. 1930 otrzymała stypendium do Włoch i Francji, gdzie kształciła się w Paryżu w pracowni F. Legera.

Do Szczecina przyjechała w lipcu 1957 r. Śp. Zmarła była nestorką szczecińskiego środowiska plastyków, powszechnie szanowaną. Została pochowana z należnymi honorami na polu kombatanckim szczecińskiego cmentarza Centralnego. Wśród wieńców były też od wojewody i prezydenta miasta m. Szczecina.

W pogrzebie brała udział kilkusobowa grupa członków naszego Towarzystwa, którego Zmarła była honorową członkinią.

20. 10. 1996 zmarł w Kępnie członek tamtejszego Klubu TMLiKPW Józef Jednoróg.

Urodził się w 1919 r. w Zagórzku k. Lwowa jako syn rolnika. Naukę zawodu pobierał u mistrza krawieckiego p. Czerbaka we Lwowie. Ukończył ją tuż przed wybuchem II wojny światowej.

W maju 1945 r. wraz z rodziną został przesiedlony jako ekspatriant do Kępna.

Tutaj w 1947 r. złożył egzamin czeladniczy, a następnie mistrzowski w zawodzie krawieckim.

Chociaż w 1985 r. przeszedł na emeryturę, pracował do ostatniej chwili w zawodzie, w którym wyszkolił około 40 fachowców.

Za aktywną pracę w organizacji samorządu gospodarczego, z okazji 50-lecia Izby Rzemieślniczej w Poznaniu, w maju 1969 r. otrzymał dyplom oraz Srebrną Odznakę mistrza zasłużonego w szkoleniu uczniów w rzemiośle oraz Srebrny Medal im. Jana Kilińskiego za zasługi dla rzemiosła polskiego.

Przez trzy kadencje był członkiem Sądu Koleżeńskiego oraz Komisji Rewizyjnej w Cechu Rzemiosł Różnych w Kępnie.

Od 15 czerwca 1996 r. był Honorowym Członkiem Cechu.

Od 1989 r., z chwilą powstania Klubu Towarzystwa Miłośników Lwowa włączył się aktywnie do prac Klubu i wraz z Żoną, Heleną, uczestniczył we wszystkich Spotkaniach lwowian i kresowiaków, nie opuszczając ani jednego zebrania. Będąc członkiem Zarządu Klubu bardzo czynnie podejmował wszelkie zadania organizacyjne.

Jego pogoda ducha, otwartość, szczerłość i bezinteresowność zjednywały mu szacunek i życzliwość ludzką.

W czwartek, 19 września br. wziął udział w kolejnym Spotkaniu przy kawie i słodczykach w towarzystwie Ziomek-kresowiaków i lwowian.

W piątek, 20 września br. podczas spaceru popołudniowego zaskoczyła Go nagła śmierć. W naszej pamięci pozostanie na zawsze jako szlachetny, dobry i prawy człowiek, uczynny wobec wszystkich, pogodny i powszechnie lubiany.

Cześć ich pamięci

Contents

1. Declaration of the Presidium of Headquarters of the Lwów and South-East Borderland Lovers Society.
2. A visit of the delegation of Borderland Organizations Federation at the President of Polish Sejm.
3. D. Nespiak - On the Festival of Polish Culture and Jubilee of St Maria Magdalena Polish School in Lwów: unveiling of the monument in memory of Poles murdered at Mosty Wielkie in 1944.
4. J. Masior - Remembrance of the late Witold Szolginia - and not only.
5. A. Lenkiewicz - Soviet aggression and Polish defence in September of 1939.
6. Z. Girulski - Escape of a Polish family persecuted by the Soviet Secret State Police in 1939.
7. M. Mazur - "ORLETA" - a youth group of the Rifle Club camping at Drohobycz-Polmin.
8. Fragments of the pre-war chronicle of the Roman-Catholic Cathedral in Lwów.
9. Meeting with Mr Stanisław Lem, the famous science fiction writer.
10. S. Rakowski - On the pre-war Trading School at Czortków.
11. A. Wartalski - History of the little country town Bołszowice.
12. D. Śliwińska - Some more repercussions of summer vacation.
13. I. Werschler - Exhibition "Lwów and South-East Borderland" in Poznań.
14. T. Kukiz - Centenary of Józef Wittlin, an outstanding Polish epic writer.
15. Z. Ojrzyński - Scientific session devoted to the famous biochemist Prof. dr J. Parnas, held in Lwów.
16. T. Cedro - A gloss to occupation press.
17. Resolution of the Supreme Court concerning "Storm battalions".
18. Z. Umański - Borderland diary.
19. D. Tabińska - At the Poles in Kijev.
20. Among the books - reviews.
21. Letters to the Editors.
22. An appeal.
23. Search for lost families.
24. Errata - corrections.
25. Obituary column.

Lista ofiarodawców w m-cu VII-VIII/96

1. Kazimiera Gaczyńska Oleśnica	100,-	odb. Cm. Orl. Lw.
2. Andrzej Hanuszewski Pyskowice	80	
3. Danuta Bolanowska Łódź	20	
4. Edward Adles Kraków	10	
5. PPUH Motor Market Bogusław Suchodolski Długoleka	200,-	
6. Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” Pabianice	100,-	
7. Józef Stan Toronto Kanada	255,20	130 CAD
8. Stanisław Tarnowski Poznań	20	
9. Janina Blum Wrocław	20	
10. Wanda Klimkowicz Przemyśl	20	
11. Wiktor Mokanek Jelenia Góra	40	
12. Jacek Miliński Łódź	10	Sztandar Obronców Lwowa
13. Stanisław Bajda Londyn	70	
14. J. T. USA	1215	415 \$
15. W. T. USA	540	200\$
16. N. T. USA	270	100\$
17. Elżbieta Bois Roymond Niemcy	270	100\$
18. Władysław Nowicki Koźuchów	8	
19. Stanisław Mossoczy Bielsko-Biała	20	
20. W. A. Podoleccy Kielce	20	
21. Zbigniew Lachowski Wschowa	3	
22. Adam Nikonowicz Dębica	20	na odb. Cm. Orląt Lwoskich
23. Irena Braun Sanok	50	
24. prof. Artur Hutnikiewicz Toruń	300	
25. Maria Wysoczańska Gliwice	15	
26. Edward Zubik Wrocław	25	wpl. na TML
27. Nadina Tyzenkauz-Pietruska Kraków	10	
28. Stanisław Piel Rzeszów	20	kość. w Przemyślanach
29. TML i KPW Nysa	100	dotacja
30. Józef i Joanna Starzecy Wrocław	20	
31. Maria Żurowska-Gangi Toruń	10	
32. Bronisław Suchecki Wrocław	10	

Od Wydawcy

– Zarząd Fundacji Kresowej „Semper Fidelis”, jako wydawca czasopisma „Semper Fidelis” oraz dystrybutor na Kraj „Gazety Lwowskiej” i Dziennika Kijowskiego, jest zmuszony do podniesienia opłat na prenumeratę na 1997 rok, wobec stale rosnących kosztów druku i porta pocztowego.

Prenumerata na 1997 rok dwumiesięcznika Semper Fidelis będzie wynosić 24,-

Prenumerata na 1997 rok dwutygodnika „Gazeta Lwowska” będzie wynosić 18,-

Prenumerata na 1997 rok dwutygodnika „Dziennik Kijowski” będzie wynosić 18,-

Natomiast kwartalniki regionalne: „Zeszyty Tlumackie”, „Gdzie Szum Prutu”, „Strzecha Stryjska” pozostaną w cenie 16 zł za prenumeratę na 1997 r. Oczekujemy wpłat!

W imieniu Zarządu Fundacji

mgr Danuta Tabińska-Juhasz

Wszystkich Czytelników, którzy dokonali wpłaty na prenumeratę na rok następny, mniejszej niż w/w prosimy uprzejmie o dokonanie wyrównania z zaznaczeniem na przekazie, czego wpłata dotyczy.

– Zgodnie z kilkuletnią już tradycją w dniu Święta Zmarłych 1 XI br. będziemy kwestować na cmentarzach całego kraju na odbudowę Cmentarza Orląt Lwoskich i Cmentarza Lyczakowskiego we Lwowie. Zarząd Fundacji Kresowej S. F. apeluje do wszystkich miłośników i sympatyków, żeby ich datków nie zabrakło przy wielkiej sprawie odbudowy cmentarzy we Lwowie. Wpłaty będą gromadzone na centralnym koncie, dawno już otwartym na ten cel w Zarządzie Głównym TMLiKPW w PKO IV o/Wrocław Nr 93549-99192-132-0. Nasze Oddziały i Kluby prosimy o przekazywanie zebranych w tym dniu pieniędzy na wyżej podane konto.

– Zawiadamiamy, że staraniem Fundacji ukazał się nowy lwowski kalendarz na 1997 rok z ilustracjami starego Lwowa z 1918 r. zachęcamy do zakupu.